na Granicznej 3

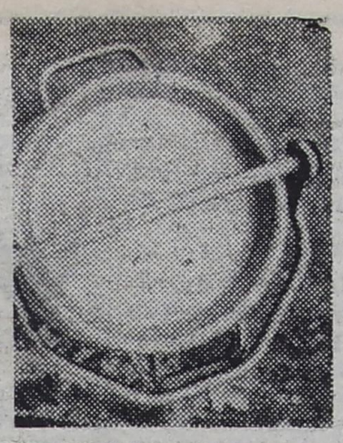

maślany pomazaniec 4

ceny spod znaku księżyca 5

fotoreportaż 13

o „kopanej" trzeba dbać 14

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

14

(41)

KONTAKTY

12 IV 1981

Cena 4 zł

Fot. GABOR LÖRINCZY

pęknięta zgoda

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Naczelnik gminy Nowogród, Jerzy Dec, nie ma odwagi sam pokazywać się przed remizą. Zatrzymał więc fiacika na uboczu drogi i przez szybę zerka na Mątwicę. Teren to w tej chwili trudny, lud mocno wzburzony. Jego mieszkańcy przeżyli kolejną komasację jak trzęsienie ziemi. Żaden budynek przez to się nie rozpadł, ale pękła niejedna zasiedziała sąsiedzka zgoda, odżyły stare waśnie i pojawiły się nowe. Ciągnąca się wzdłuż drogi przez kilka kilometrów Mątwica — pełna jest dzisiaj burz, niepokojów, goryczy i zawiści.

CIĄG DALSZY NA STR. 6—7

palec losu

ALICJA BASTA

— Napisałeś, a teraz uciekasz! No chodź, Władziu! No, chodźże! — nawoływała syna głośno, acz niezbyt przekonywująco. Gdy przemknął zza węgła do wnętrza obory, chyłkiem, jak spłoszone, ale niezdarne zwierzę, bo matka czyniła pozory, że pragnie go stamtąd wywabić, obawiałam się, czy któryś z płatów glinianego muru, trzymających się w powietrzu nie wiedzieć jakim cudem, nie oberwie się i nie spadnie im na głowy. Część ściany przy drzwiach nie była nawet wsparta drewnianymi drągami jak narożniki, chronione w ten sposób od upadku. Przez wyrwane kawały gliny wzrok biegł na przestrzał ku polu bronowanemu przez najstarszego syna.

Podsunęłam matce list. — Czy to nie on pisał?

Jadąc tutaj wyobrażałam sobie biedne dziecko, odcinane od świata postępującą głupotą, szukające ratunku daleko poza domem, gdyż nie mogło go znaleźć u najbliższych. Wyobrażałam sobie, że je uratuję. Zawiozę do najlepszych lekarzy — w B. jest przecież doskonale wyposażona klinika laryngologiczna. Myślałam, że napiętnuję winnych, którzy skazali je na śmierć za życia, i spróbuję zniszczyć ten kawałek Średniowiecza, który dotrwał tu do naszych czasów.

W czasie składania matce wyjaśnień dostrzegłam go — skradał się za płotem, przygięty do ziemi. Gdy przekonał się, że go widzę, ukrył się w oborze, w której prawdopodobnie hoduje króliki. Pisał o nich: *„Gdy im daję jeść i patrzę jak sobie wyrywają trawę, to się cieszę. Wydaje mi się, że jestem taki sam jak dawniej".*

Matka czytała list, powoli poruszając wargami, jak czynią ludzie nienawykli do lektury. Była u dołu stronicy, na pewno więc znała już ten fragment: *„Przyszło wezwanie z Krakowa, w zimie. Nie zawieźli mnie. Przyszło w marcu drugie, żeby jechać do profesora. Obiecali, że pojadą, ale termin minął, a oni nawet nie wspomną. Z tego widać, że nie zależy im na mnie. Oni słyszą, robią co chcą, idą, gdzie chcą, do sklepu, do kościoła. Co się mają mną martwić? A ja siedzę jak więzień. Ani z kim porozmawiać, ani wyjść do kolegów. Wszystko przez nich".*

„Oni" — to rodzice.

— Czy to on sam pisał? — zwątpiłam nagle, że skarga wyszła od tego kryjącego się przed ludźmi stworzenia.

— On sam pisał. Nauczył się lewą ręką: nie bardzo mu jeszcze wycho-

CIĄG DALSZY NA STR. 8—9

„TRZEBA ODŁOŻYĆ NA BOK wszelkie emocje i dyskutować z największym spokojem" — powiedział poseł Jan Szczepański otwierając posiedzenie sejmowej Komisji Nadzwyczajnej ds. Przestrzegania Porozumień Społecznych. I dodał, powołując się na Napoleona: „Serce polityka znajduje się w głowie". Ten uspokajający wstęp nie zmienia faktu, że komisja zajmuje się sprawami budzącymi największe obecnie emocje, a jej pracy towarzyszą zarówno nadzieje jak i... podejrzenia, czy przypadkiem nie ma ona służyć jako swoiste alibi dla rządu?

„CZY ISTNIEJE TEORIA umożliwiająca nam znalezienie wyjścia z kryzysu i trwałe zabezpieczenie kraju przed ich nawrotami? Tak, istnieje, jest nią marksowsko-engelsowska teoria alienacji. Przez co najmniej ostatnie 15 lat przemilczana, dziś ma szansę na przeżycie swego renesansu, na praktyczne zastosowanie płynących z niej wniosków w praktyce społecznej i zastosowanie ich do przeobrażeń rzeczywistości" — pisze Przemysław Wójcik („Życie Warszawy" nr 67) wyjaśniając główne tezy tej teorii w artykule „Alienacje".

HASŁO „PLON" ma usprawnić łączność telefoniczną dla potrzeb obsługi rolnictwa. Rozmowy na to hasło będą łączone w pierwszej kolejności.

„EKSPORT — NIEPOPULARNY i konieczny" stwierdza w artykule pod tym tytułem Mieczysław Gajewski („Trybuna Ludu" nr 80) przytaczając ciekawą informację: „Z danych statystycznych wynika na przykład, że 15 proc. produkcji hutnictwa jest zużywane w samym hutnictwie, w przemyśle węglowym wskaźnik ten sięga 26 proc. Nic w tym dziwnego, skoro stosowane u nas konstrukcje wymagają zużycia dwa razy więcej stali, trzy razy więcej cementu, dwu- i półkrotnie więcej paliwa niż w krajach wysoko uprzemysłowionych".

DRAMATYCZNY w swej wymowie Raport Konserwatorium „Doświadczenie i Przyszłość" o stanie zdrowia i ochrony zdrowia ludności Polski przynosi „Życie i Nowoczesność" z 2 kwietnia. Kilka danych z Raportu: „Na bardzo wysokim poziomie kształtuje się w Polsce przedwczesna umieralność dorosłych mężczyzn. Jej wskaźnik ukształtował się powyżej poziomu sprzed 15 lat. Na liście 30 krajów rozwiniętych, zestawionej według kolejności malejących wartości omawianego wskaźnika, Polska zajmuje obecnie 26 miejsce. [...] I dziś znów będziemy musieli obwołać gruźlicę problemem społecznym. Jesteśmy do tego zobowiązani definicją Światowej Organizacji Zdrowia, która stwierdza, że gruźlica przestaje być chorobą społeczną wówczas, gdy wskaźnik zachorowalności nie przekracza 20 na 100 tysięcy ludności. W Polsce wynosi on 77. [...] W wiek dojrzały wchodzi ponad połowa 18-latków z nierozwiązanymi problemami zdrowotnymi wieku szkolnego (choroby układu oddechowego, choroby alergiczne, niedokrwistość, zły stan uzębienia, zaburzenia nerwicowe, zaburzenia miesiączkowe u dziewcząt)".

„WIERZĘ W ODPOWIEDZIALNOŚĆ środowiska, które samo może reagować skutecznie na wprowadzenie w błąd czytelników, na gonienie za tanią sensacją czy na nieodpowiedzialne ekscytowanie opinii publicznej. Nie trzeba więc prowadzić dziennikarzy za rączkę, ani zakładać kagańca cenzury. [...] Nie musimy we wszystkim się zgadzać. Ważne jedynie jest to, aby różne poglądy — przy zachowaniu zasad kultury politycznej i dobrych obyczajów — mogły publicznie być ujawnione. Wtedy — wierzę głęboko, że wszyscy się porozumiemy. [...] Nie może być instytucji czy organizacji wyjętych spod krytyki. Tak jak o partii czy rządzie pisze się dobrze i źle, tak samo dobrze i źle powinno pisać się o »Solidarności«, gdy robi błędy. A muszę powiedzieć, że dziś mało kto odważy się publicznie skrytykować »Solidarność«. Chodzi mi oczywiście o rzeczową krytykę, a nie o frontalne ataki." — powiedział m.in. w wywiadzie dla „Gazety Współczesnej" (nr 69) I sekretarz KW PZPR w Białymstoku Stefan Zawodziński.

NOWE CENY artykułów rolnych (średnio, wyższe o 30 proc.). Od kwietnia — bydła, trzody, owiec, koniny, cieląt, mleka oraz wełny, a od lipca — produktów roślinnych oraz drobiu. Najbardziej korzystają na podwyżce producenci mleka. Narastające dysproporcje między cenami skupu a detalicznymi zmuszają do podniesienia cen artykułów spożywczych i opracowania systemu rekompensaty dla pracujących. Dalej jednak rozwija się system kartkowy. Obejmuje on także: ryż, kasze, płatki i mąkę. Natomiast, wbrew różnym pogłoskom, nie będzie kartek na chleb.

PROJEKT USTAWY o kontroli publikacji i widowisk wpłynął do Sejmu PRL.

WE WNIOSKU DO WKKP dyrektor Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Białymstoku — Ireneusz Kreal, I sekretarz POP — Tadeusz Bielawski i przewodniczący Rady Zakładowej — Eugeniusz Ejsmond oskarżyli redaktora naczelnego „Gazety Współczesnej" Jana Sochę, iż ukierunkowuje on publikacje dziennikarskie niezgodnie z ogólną polityką PZPR, a w interesie własnym i kilku bliskich sobie osób. W krótkim komentarzu redakcja odpowiada pytaniami: „Być może o »Gazecie Współczesnej« krążą różne opinie czy wręcz plotki, jak to zwykłe bywa w chwilach zamętu, więc może i oskarżenia ze strony kierownictwa OPRF należy traktować podobnie? Ale jeżeli podstawą oskarżeń staje się plotka, to co należy sądzić o oskarżycielach?"

UKAZAŁ SIĘ pierwszy numer ogólnopolskiego tygodnika związkowego „Solidarność". Zespół redakcyjny — około 30 osób, naczelny redaktor — Tadeusz Mazowiecki. Połowa nakładu, wynoszącego 500 tysięcy egzemplarzy, będzie sprzedawana w kioskach „Ruchu", pozostała część przeznaczona jest głównie na prenumeratę związkową i wiejską. Na jego łamach — także artykuły, które nie mogły się ukazać w innych pismach. W związku z tym „Kurier Polski" zadaje pytanie: „Czyżby więc były dwie miary, czyżby prawdę trzeba było dozować — temu ćwierć, temu pół, temu całą? To pytanie domaga się odpowiedzi."

„GIEŁDA REZERW" — to tytuł nowego tygodnika ukazującego się nakładem wydawnictwa NOC — Sigma, przy współpracy z telewizyjnym studio 2 i warszawskim ośrodkiem ETOB. Zawiera głównie materiały informacyjne przeznaczone dla poszukujących i oferujących towary i usługi.

CIĄGNIKI ZA DOLARY. „Pewex" — zgodnie z licznymi postulatami — wycofał się ze sprzedaży maszyn i narzędzi rolniczych, ciągników, samochodów osobowych, dostawczych i ciężarowych oraz mieszkań i domków jednorodzinnych — za dolary. Prowadzi ją natomiast nadal „Agromet-Motoimport", „Pol-Mot", Biuro Handlu Zagranicznego CZSBM „Locum". Jak widać analiza społeczno-politycznego uzasadnienia swej działalności obowiązuje tylko niektóre jednostki.

zdarzenia

WSPANIAŁA TRADYCJA — idea autentycznej, od nikogo niezależnej organizacji młodzieży wiejskiej — zatacza coraz szersze kręgi. Jeszcze tylko w pięciu województwach, w tym i łomżyńskim, ruch ten upowszechnił się (brak informacji, pomocy) w stopniu odpowiadającym oczekiwaniom młodej wsi. Ale wkrótce powinno się to zmienić. Od paru tygodni działa w Łomży Tymczasowy Komitet Organizacyjny Związku Młodzieży Wiejskiej, któremu przewodniczy Jan Downar, młody pracownik WZKR-u. Koła ZMW istnieją w miejscowościach: Jedwabne, Mystki Rzym, Miodusy, Wyszomierz. W pierwszych dniach kwietnia z łomżyńskimi entuzjastami ZMW spotkał się w Zambrowie przewodniczący Zarządu Krajowego ZMW, Waldemar Świrgoń. — Otwieramy swoje szeregi — powiedział m.in. — dla wszystkich, którzy chcą zrobić coś dobrego dla wsi. Nikomu niczego nie obiecujemy. Nastawiamy się na działanie w takich realiach, jakie są, lecz jednocześnie mówimy członkom naszej organizacji: społeczeństwo ma prawo oczekiwać od chłopów więcej żywności, ale nie mogą oni być traktowani tylko jako producenci. —

ODNOWA W GMINIE Szepietowo wtargnęła także do siedziby LZS-u i zmieniła jego zarząd. Nowym prezesem został Radosław Prorok, pracownik Urzędu Gminy i znany entuzjasta sportu w Szepietowie. Teraz odnowa wkroczyła na boisko, rozejrzała się dookoła i stwierdziła, że sport w tej miejscowości nie miał dotychczas pola do popisu. Ale już wkrótce zostanie ukończona ponoć budowa kortu tenisowego.

MAJOWE KARTKI żywnościowe trafią do odbiorców z mniejszymi perturbacjami. Przestanie je wydawać WHiU Urzędu Wojewódzkiego, a zaczną — urzędy miast i gmin w Kolnie, Zambrowie, Grajewie, Ciechanowcu, Wysokiem Mazowieckiem i Łomży.

ZABRAKŁO MĄKI i na zasadzie odruchu warunkowego zwróciliśmy się w stronę młynów dochodząc — czemu są pozamykane? Niestety, po latach zapomnienia i tępienia małych zakładów, młynom bliżej do skansenu niż do mielenia. W Łomżyńskiem pozostało ledwie 18 działających, natomiast około 20 wymaga kapitalnego remontu. Tymczasem trwają targi, komu je przypisać: PZZ-om, WZSR-owi czy GS-om?

PRIMA APRILIS. Gwoli tradycji pożartowaliśmy sobie w „Spięciach" i na trzeciej kolumnie ostatniego numeru z okazji 1 kwietnia. Tym, którzy żartu nie kupili, mamy na pocieszenie informację, że za rok — znów prima aprilis!

SPROSTOWANIE: W numerze 12 podaliśmy mylnie nazwiska reżyserów, których filmy były prezentowane na seminarium filmowym w Łomży. Film „ONC" reżyserował H. Dederko, a „Robotnicy '80" A. Chodakowski. Przepraszamy.

KŁOPOTY PASZOWE i wysokie koszty produkcji zwierzęcej — kilkakrotnie wyższe niż na przykład w roku ubiegłym — odbijają się na stanie pogłowia bydła, również i w województwie łomżyńskim. W lutym skupiono 11 ton skór cielęcych, za dwa miesiące — 20 ton. Dane te wyraźnie wskazują, iż pomimo przychylnych znaków na ziemi i niebie o szybkim nadejściu wiosny i zmiany cen skupu, rolnicy nie rezygnują z nagminnego uboju cieląt. Grozi to znacznym spadkiem hodowli zwierzęcej i skupu mleka w tym roku.

Do czytelników i przyjaciół

Dziękujemy Wam z całego serca za szczególnie liczne w ostatnim okresie dowody życzliwości i sympatii dla pisma. Otrzymaliśmy sporo pokrzepiających listów i telefonów. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo były one nam potrzebne; wszystkie, także i te polemizujące z autorem głośnego „Pamiętnika nastolatka". Nawet nie ze względu na rozważany przez Prezydium TKZ NSZZ „Solidarność" bojkot pisma — tu musieliśmy wierzyć w zwycięstwo rozsądku — a po prostu dla poprawy samopoczucia zespołu redakcyjnego, którego największym pragnieniem jest służyć mądrze i dobrze wszystkim czytelnikom, przecież nie jednorodnym w ocenach, odczuciach i poglądach.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY „KONTAKTÓW"

punkt widzenia

sprawiedliwość na kartki

Ostatnimi dniami nasze portfele, wypchane już i tak papierkami z fotografiami zasłużonych przodków — Mieszka, Kopernika i innych, a także niezliczoną ilością legitymacji, kwitów — wzbogaciły się o jeszcze jeden asortyment druków: karty wstępu. Możemy teraz bez skrępowania udać się z jedną — do stoiska z cukrem i słodkościami, z inną — po wymarzonego schaboszczaka, a wkrótce otrzymamy jeszcze i karty pozwalające spotkać się „oko w oko" z kaszą gryczaną i podobnymi specjałami.

Cokolwiek nie wytknęlibyśmy nowo narodzonemu systemowi kartkowemu, jedno jest pewne: w dostępności do smakowitych, a niezbędnych do życia dóbr zrównał nas skuteczniej niż jakiekolwiek dumne i chmurne idee. I za to mu chwała — właśnie za sprawiedliwość.

W takich zaś województwach jak nasze — nawet podwójnie chwała! Oto bowiem, jak dowodzi niezbicie statystyka, gdyby nie wszędobylskie środki masowego przekazu informujące co dzień o naszym krajowym kryzysie, moglibyśmy go nawet... przeoczyć! Bo fakty są niepodważalne: od wielu wielu lat Łomżyńskie otrzymywało miesięcznie 500—550 ton masy mięsnej i o żadnej sytuacji kryzysowej nie było mowy. Obecnie zaś otrzymywać ma 850—900 ton i dołączać swój zbiorowy głos do postulujących przyśpieszenie tempa wyjścia z tegoż kryzysu.

Rzeczona sprawiedliwość ma przy tym cechę bezcenną — jest niepodważalna. Spróbujmy uzasadnić to stwierdzenie wyobrażając taką oto sytuację: część rodziny mieszka na wsi hodując kury, kaczki, trzodę. Jej członkowie dostali także karty wstępu do pobliskiego GS, gdzie oczekiwać nań mają dowiezione, nie najlepszymi przecież polskimi drogami, często z bardzo odległych regionów — połcie boczku, szynki, drób itp. Załóżmy, że okresowo (np. po świniobiciu) wiejska rodzina będzie wolała jeść wyroby ze zwierząt własnego chowu, a kartki zechce odstąpić swym krewnym mieszkającym w odległym o paręset kilometrów mieście. No i co? I nie da rady. Owszem, może wysłać paczkę żywnościową zatrudniając do pomocy, cierpiącą jak wiadomo na brak pracy, pocztę, może wysłać umyślnego z tobołkiem prowiantu — ale nie podarować kartę! Pracownik Wydziału Handlu i Usług UW, którego namawiałam do bojów o taką możliwość stwierdził z przekonaniem:; — Ten system miał przecież w celu sprawiedliwy podział deficytowej masy towarowej, a w tej sytuacji osoby posiadające rodziny na wsi byłyby uprzywilejowane. Wskazywałoby to ponadto, że pewnej grupie mieszkańców kartki na mięso są zbędne i należałoby wówczas po prostu je zabrać.

Trzeba chyba dać posłuch i wiarę tym racjom, doceniając to głównie, że to niby niechcący, niby mimochodem, zrobiliśmy pierwszy zauważalny krok w zwalczaniu naszej podstawowej narodowej przypadłości — korupcji. Ale czy wszystkich zadowolisz? Niektórzy już teraz, niejako na zapas, martwią się: jaki savoir vivre będzie obowiązywać na rodzinnych zjazdach i przyjęciach imieninowych? Czy trzeba przybywać na nie z własnymi wiktuałami czy też dyskretnie wkładać do kieszonki gospodyni domu kopertę z tzw. rekompensatą. Dalibóg, nie wiadomo co lepsze.

Ale większość jest zdecydowanie za kartkami. O czym świadczy choćby to, że po ich rozdaniu okazało się, że liczba ludności natychmiast się powiększyła. Z „narodzinami" nie czekano nawet na tradycyjne 9 miesięcy...

NINA OMELCZENKO

na Granicznej

historia i dzień dzisiejszy

Można nie przecierać zakurzonej szyby, nie wychodzić za próg warsztatu, i widzieć, jak wszystko się zmienia. Bo wówczas zmienia się również w nim samym. Jedno tylko w stolarce pozostaje niezmienne: kloc, który trzeba wziąć w dłonie i cierpliwie zapuszczać weń zęby tokarki; deska, nad którą pot spłynie po ramionach, zanim pokażą się gładkie, symetryczne słoje.

Teraz, od blisko trzydziestu lat, w warsztacie miesza się zapach sosny i dębu. Niezależnie bowiem od tego, co dzieje się na świecie, trumna jest rzeczą niezbędną. Mistrz nie musi nad tym dumać, deliberować, rozwodzić się nad miarę. Gdy ma się siedemdziesiąt siedem lat — sześćdziesiąt pięć roboty w drewnie, prawie trzydzieści w trumnach — z życiem się człowiek już nie droczy, o końcu myśleć może bez zdziwienia. Dlatego tej dębowej, starannie zakrytej folią paki, surowej jeszcze, bez ozdób i farby, mogę nie oglądać. Nie jest na sprzedaż. Czeka od roku, i jest to normalna sprawa, bo kto ma zrobić stolarzowi? Wkrótce, być może, stanie obok niej druga. Nie tak ciężka; zgrabniejsza, mniejsza. Żona chce mieć również trumnę solidną i umniejszyć kłopotu rodzinie, gdyby się coś stało.

A dobra trumna to sprawa nie taka prosta. Co widać choćby po tych wszystkich, którzy stukają do warsztatu, oglądają jak gdyby od niechcenia, wychodzą do zakładu komunalnego, a potem wracają. Biorą wtedy od Mistrza bez zbędnych przetargów, długiego wybierania. Znać się nawet nie trzeba, bo przecież od razu widać solidną calówkę, spojenia na gerung, delikatny kielunek. Fuszerki być nie może. Szacunek w obliczu śmierci należny jest każdemu, kto by to nie był i jaki. Trumniarz może go wykazać właśnie w ten sposób, że dla innych robi tak, jak dla siebie.

Niejasne, niewytłumaczalne to trochę, ale człowiek chce, aby trumna, w której spocznie najbliższy, nie rozpadła się po pierwszej wiośnie. Dlatego ważne jest drewno. Calówka z rdzenia, o gęstym słoju, nasycona wiekowymi sokami i żywicą. Ważna jest robota. Kielunek płytki, nie osłabiający ścianek, zacięcia wpasowane do milimetra, szczelne. Wówczas po dwudziestu i więcej latach wieko zadudnić powinno, jak przy pierwszej łopacie ziemi.

Jeżeli blisko trzydzieści lat wprowadza się ludzi do składu, gdy słucha się i patrzy, nietrudno poznać, kim są. Najczęściej widać rozpacz. I łzy. A słychać całą historię, która wydaje się jedyna. Bywa jednak i nie skrywana radość, i ćwiartka wódki z okazji, pośpiech i targ o każdy grosz. Mistrza już jednak niewiele jest w stanie zaskoczyć. Nie lekarz z niego, nie uczony, wie wszakże, jaka toczy nas choroba. Ta w sercu, w zakamarkach mózgu, i ta, na którą się umiera.

Kiedyś ludzie umierali inaczej. Spokojnie, w domu, zjednani i pożegnani ze stojącymi wokół. Godnie. Teraz rak. Zawał. Wylew krwi. Na ulicy, pod płotem, w pracy lub knajpie, w kilku sekundach albo po straszliwej, długiej męczarni. Kiedyś odchodzili sterani życiem, mający je za sobą w długiej paraboli. Niedawno przyszli do warsztatu rodzice trzynastoletniej dziewczynki. Przychodzą żony, dzieci, dziadkowie, a w metrykach, które wypadło im przypieczętować ziemią, czterdzieści lat, czterdzieści pięć, czterdzieści osiem.

— Dlaczego się zabijamy? — pyta Mistrz, nie pytając nikogo konkretnie. — Dokąd ten pośpiech, wiecznie napięte nerwy?

Kiedyś śmierć przychodziła sezonowo. Mniej lub bardziej mało latem, wczesną jesienią; najczęściej w grudniu, styczniu, lutym. Obecnie, choć przełom roku wpycha do zakładu jeszcze więcej ludzi niż kiedykolwiek, miesiące zaczynają się upodabniać. Można więc nie przecierać zakurzonej szyby, nie wychodzić za próg warsztatu, i widzieć, jak wszystko się zmienia. Zmiany z ulicy, z miasta, ze świata, przenoszą się same za jego próg. Na ulicy Granicznej w Zambrowie nie były one rzadkością. Mistrz Murawski nie zawsze bowiem robił trumny.

Swój pierwszy, zupełnie samodzielny zakład stolarski otworzył w roku 1928. Pewnym, niezawodnym interesem w branży była wówczas stolarka wozowa i kołodziejstwo. Aż do epoki gumy, do końca lat pięćdziesiątych, po których nawet mistrz nad mistrze nie mógł już liczyć na nic. Najmarniejszy chłop nie przyszedłby zamówić drewnianego koła, kmieć — najbogatszy — strojnego wasążka. W warsztacie na Granicznej zmiana przyszła zresztą znacznie wcześniej. W podgranicznym Zambrowie, w latach trzydziestych, na ulicach pojawiać się zaczęło coraz więcej wojskowych mundurów. W mieście znalazła się Szkoła Oficerów Rezerwy, pułk piechoty, artyleria. Zamówił więc stolarz Murawski sto pięknie odrobionych wizytówek i udał się do koszar. Eleganckich panów oficerów stać było na zachcianki i pomysły, płacenie za ręczną dłubaninę. W warsztacie nie trzeba było wywieszać zgłoszeń o naborze uczniów. Rzemieślnik był *kimś*. Poza tym — kim zostać mógł wtedy chłopak z przedmieścia?

Jedynie wieś, zapatrzona w swe morgi, była wsią inną. Nie tak łatwo młody Murawski uzyskał zgodę przyszłego teścia na ożenek. Dziś za to ledwie miejski chłopak skinie, już leci każda gospodarska córka, mająca dość gumiaków, drelichowych bluz, niezmiennej harówki. Dziś również w oknie warsztatu, od lat z górą piętnastu, tkwi bezużytecznie podniszczona tabliczka: *„Ucznia na praktykę przyjmę"*. Ostatni zjawił się w sześćdziesiątym drugim, może czwartym roku. Nawet syn wolał papierkową posadę. Wnuk kończy wprawdzie Technikum Drzewne w Łomży, lecz Mistrz za mocno się nie łudzi. I nie dziwi. On sam w ciągu ponad sześćdziesięcioletniej pracy dorobił się 1800 złotych renty.

Wojna wprowadziła do zakładu kołowrotki. Heblowanie za masło, jajka, mleko, chleb. Darmowe roboty przy powozie miejscowego fürerka. W mieście getto żydowskie i pustki w żydowskich warsztatach.

Silna, wymagająca była ta przedwojenna konkurencja. Jedynie Mistrz Murawski ważył się stawić jej czoła przy wyrobie mebli. W tamtym czasie nikt jednak nie myślał o stylizowanych kozetkach, giętych krzesłach, karcianych stolikach. Żaden stolarz nie śnił nawet o takim obstalunku. Do mebli na Granicznej nie wrócono już nigdy.

Powojenna równość przyniosła bowiem także prawo maszyny i serii. Taniej — i — więcej. Wzrastające domiary — rozrachunek z „kapitalizmem" — doprowadziły do wymiecenia wiórów i trocin ze stolarni na kilka miesięcy. I później właśnie pojawiły się w niej trumny. Bo trumna to zawsze rzecz niezbędna. Niezależnie od tego, co dzieje się na szerokim świecie.

WŁADYSŁAW TOCKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

OPERACJA: ŻYWNOŚĆ

pomazaniec

— Panie, jak oni tam wożą te mleko, to niech ich cholera weźmie. Dziś dolałem dwa wiaderka wody na wszelki wypadek i jeszcze nie wyszedłem na swoje. Tak obcinają! — z niekłamanym przekonaniem w swą uczciwość referował jeden z zebranych.

— Oni w ogóle nie ważą, a jak ważą, to na Bolka oko, szkoda tylko, że nie tego, co jest kumplem Laskowika, bo wtedy wszystko musiałoby grać. A tak naprawdę, to w tej mleczarni niezły kabaret działa. Wczoraj omyłkowo wstawiłem w raporcie mniej o 100 litrów, a oni ujawnili brak tylko 50, bo mi mniej więcej codzienie tyle obcinają. No to dlaczego miałem się dzisiaj nie pomylić? Ja już ich znam na pamięć.

— Tam musi być dobra sitwa, bo naszego zlewniarza tak kantują, że będzie musiał chyba skończyć ten interes. Inaczej cała jego scheda pójdzie na pokrycie braków.

— A ja sobie taki eksperyment zrobiłem: w pierwszej połowie miesiąca dawałem pełne mleko, a w drugiej zbierałem śmietanę, masło robiłem, a resztę oddawałem. No i procenty się nie zmieniły! Gadają, że zlewniarz daje taki procent, żeby się z mleczarnią rozliczyć, a nie — jaki jest naprawdę.

— Zlewniarz powiedział mi, że wzywał go skupowy dyrektor i kazał mu te braki, co to niby w transporcie czy gdzie indziej powstają, po swojemu, jak to się mówi, załatwiać, bo inaczej będzie z nim źle. No to on wpisywał chłopom niższe procenty. I w ten sposób wyrównywał sobie te braki transportowe, które mleczarnia też tak naliczała, że zawsze wychodziła na swoje. Aż za duże wyszły mu nadwyżki! Dyrektor chwalił go potem, chociaż zabronił rozgłaszać, że tak kazał robić. Na koniec nawet wstał i uścisnął mu rękę za to złodziejstwo.

— Dlaczego dyrektor, zapytany o dojarkę, zainteresował się tym, co za to będzie miał, a nie ilością krów i litrażem oddanego do mleczarni mleka?

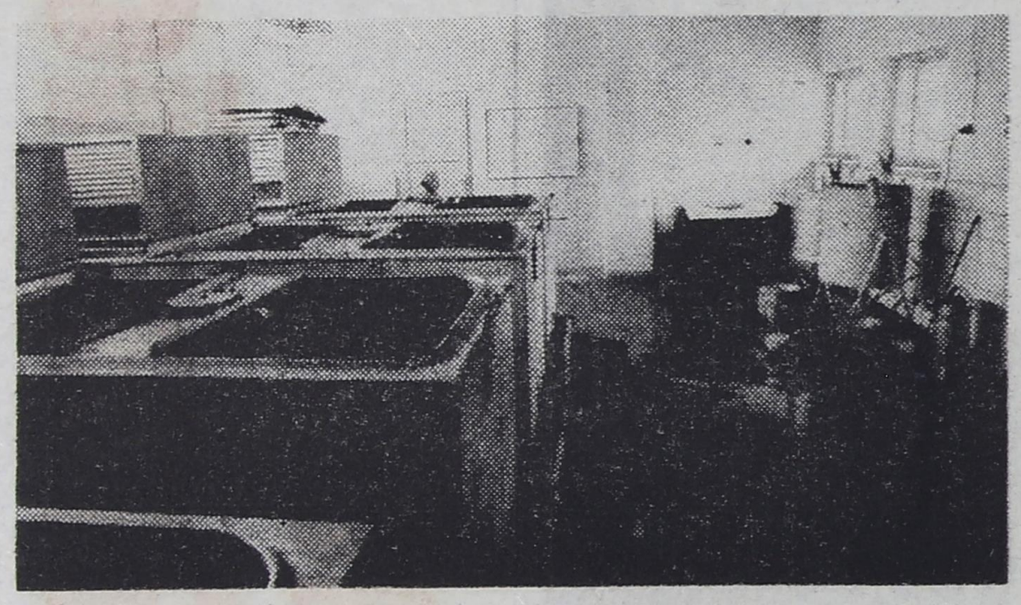

Do powyższych wystąpień na jednym z zebrań rolników-dostawców mleka komentarz jest zbędny. Sformułowania chłopów mają to do siebie, że są proste, dosadne, ale za to wyraziste i — w odniesieniu do poruszanego tematu — jakże prawdziwe. Nie pozostaje nic innego, jak tylko w chłopskim pokłonie do ziemi pogratulować władzom spółdzielczym osiągnięć w sferze praworządności oraz właściwego pojęcia tzw. interesu społecznego. Obraz rzeczywistości w skupie mleka, przedstawiony tak lapidarnie przez rolników, nie pozostawia bowiem żadnych wątpliwości co do tego wpływu na świadomość i morale dostawców. Demoralizacja, zobojętnienie, rezygnacja i niewiara w rzetelność i uczciwość ludzi z aparatu skupu — oto „wartości", jakie wykształcił zrutynizowany i stosowany bez żenady system.

Ale negatywnych skutków ma on więcej i o wiele poważniejszych. Bo oto po 36 latach „dorabiania się" naszego kraju przychodzi nam już od świtu dobijać się w sklepach o pół kostki masła, i to pochodzącego przeważnie nie z krajowych dostaw! Czy mamy za mało łąk, krów, czy tylko nieudolne władze resortowe, które dopuściły do niedoboru podstawowych artykułów mlecznych nawet w województwach wybitnie rolniczych? Pogłębianiu się stanu skorumpowania i świadomości aspołecznej we wszystkich ogniwach produkcji pomiędzy dostawcą a sklepami nie przeciwstawiły się dotąd skutecznie ani władze resortowe, ani samorządy wiejskie czy spółdzielcze.

Czy w sytuacji, w jakiej znajduje się nasz kraj, powinno się lekceważyć organizacyjne możliwości zakładu mleczarskiego w ożywieniu produkcji wyrobów z mleka? Każdy rozsądny człowiek powie, że nie, ale co z tego? Nie rozwiążą tego puste referaty o wykorzystywaniu rezerw, bo są tylko sztuką dla sztuki. Chciałoby się uwierzyć, że obecne poruszenie przyniesie jakieś pozytywne przemiany także w mleczarstwie. Czas chyba, byśmy przestali być wreszcie widzami. Może wówczas i Laskowik nie będzie musiał bohaterowi swej opowieści nadawać imienia Kryzys.

maślany

Niepokojące tendencje spadkowe w produkcji mleka statystyka krajowa wykazywała od dłuższego czasu. Odbywały się nawet narady i konferencje poświęcone tzw. aktualnej sytuacji w mleczarstwie. Wnioski niemal zawsze i wszędzie się pokrywały: wszystkiemu winien jest klimat. Szkoda, że klimat nie ma głosu, bo z pewnością wówczas dowiódłby, że to nie tylko jego wina. Sytuacja paszowa rzeczywiście jest pochodną klimatu i rzeczywiście jest trudna. Ale czy dokonanie takiego rozeznania powinno być celem samym w sobie? Jeśli np. u nas występują tak niesprzyjające warunki atmosferyczne, to z pewnością ma to również miejsce w wielu innych krajach, a przecież tam raczej nie zdarza się „maślany" kryzys. Zatem nie tylko warunki atmosferyczne decydują o tym, jak duża rzeka mleka płynie od dostawców do mleczarni. Najwyższy czas, by zająć się jej regulacją.

Niestety, obserwacje dowodzą, że na razie nic się w tej dziedzinie nie zmienia. Wręcz przeciwnie: zamiast podejmować konkretne uzdrawiające działania — sytuację jeszcze się pogarsza. Np. w okresie jednego z tzw. przypływów fali przedsiębiorczości w zakładzie mleczarskim nad Narwią podjęto operację zmierzającą do likwidacji ubytków powstających w czasie transportu mleka. W szybkim tempie zabrano się do legalizacji zbiorników mieszczących się w punktach skupu. Zalegalizowano już ich sporo, poświęcając sprawie wiele czasu i nakładów materiałowych.

Zlewniarze na własny użytek dokonują pomiaru ilości mleka listwą pomiarową. Zaznaczam: tylko na własny użytek, bo żaden kierowca nawet się nie zainteresował, ile mleka odbiera. Nikt też nie potwierdza zlewniarzowi odbieranej od niego ilości białego płynu. Kierowca przyjmuje tyle, ile zlewniarz wleje, a ten wstawia do raportu wysyłki taki litraż, jaki chce. Powstająca różnica między deklarowaną ilością mleka a przyjętą przez zakład — po prostu „gubi się" po drodze. Stało się to możliwe dzięki faktowi, iż w ogniwach łańcucha osób uczestniczących w odbiorze mleka brak formalnego potwierdzenia ilości. W takiej sytuacji kierowca równie dobrze może utoczyć na fermie lisów bezkarnie 100, 200 czy 300 litrów mleka. Plomby, którymi chyba tylko dla zmylenia dekoruje się zbiorniki, nie spełniają wcale swej roli, ponieważ można spuścić mleko bez ich naruszenia.

A już w samym zakładzie, jak się z boku popatrzy na współżycie kierowców i wagowych, widoczny jest przykład wzorowej symbiozy. Pan Janek i pani Marianna to istni mistrzowie mimiki. (Można by nawet w miejsce chóru, któremu patronuje mleczarnia, założyć teatr pantomimiczny). On tylko do niej oko strzeli i ona już waży tak, jak trzeba. Jest kumpelska. Potrafi być solidarna. Jak raz Janek nie dokręcił węża i struga mleka wypłynęła na ziemię, to zważyła tak, że nie było śladu po wycieku. W tych praktykach nie są w stanie ich zdeprymować postronni świadkowie! Bezkarność sprawia, że fałszerstwo i złodziejstwo zdobywa rangę chlubnego obyczaju.

Zakład posiada więc niemalże nieograniczoną swobodę w dokonywaniu korzystnego dla siebie ważenia przyjmowanego surowca. Jest to całkiem normalna praktyka dnia powszedniego, zwłaszcza że zlewniarza rozlicza przecież tylko waga zakładu mleczarskiego. Dlaczego nie rozlicza się go w punkcie skupu, t.j. na miejscu?

Masło i śmietana to obecnie towary deficytowe. Na maśle niektórzy zarabiają, a inni tym produktem po prostu wyrabiają sobie chody. Nawet w mleczarni głośno o tym, że jej dyrektorzy nie zaniedbują tej możliwości. Ponoć widuje się ich często w urzędach z teczkami pełnymi masła.

Temat malwersacji mlecznych kołacze się w błędnym kole, bowiem obowiązujący system skupu jest ustawiony tak, że mogą kraść wszyscy: i zlewniarz, i kierowca, i — uczestniczący czasami przy odbiorze mleka — przedstawiciel skupu, i wagowa. Doszło więc do tego, że mleko płynie do klienta drogą kontrolowaną jedynie pod kątem korzyści prywatnych, bez ingerencji — dawno uśpionych i bezczynnych — władz spółdzielczych i resortowych. Skutek jest taki, że codziennie ginie w każdej z mleczarń około 1000 litrów mleka.

A przed sklepami w całej Polsce ustawiają się co ranka długie kolejki. Mleko jeszcze dostaną, ale z masłem i śmietaną jest loteria, w której wygranie nie gwarantuje towaru o dobrej jakości (np. śmietana kojarzy się raczej z przeterminowanym mlekiem z puszki).

Zadziwiająca rzecz: machina skupu mleka nie jest urządzeniem mechanicznym; wszystkie czynności wykonują w niej ludzie. Więc jak to — nawzajem się okradają? A tak, chociaż w innych branżach domagają się uczciwego traktowania. Chcą mieć dobre buty z prawdziwej skóry, wysokiej jakości odzież, świeży, dostatecznie wypieczony chleb, białe bułeczki itd. Nie mogą natomiast pojąć, że od ich uczciwości zależy również zdrowie, a tym samym — samopoczucie innych członków społeczeństwa, a dzieci przede wszystkim. Każdy jest stróżem własnego, ludzkiego i obywatelskiego sumienia. Źle się dzieje, jeśli każdy stróż potrzebuje nadzoru, czyli kolejnego stróża.

ANDRZEJ NAWROCKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

KONTAKTY
12 IV 1981

punkt widzenia

ceny spod znaku księżyca

Sytuacja na rynku żywnościowym jest bardzo zła; znacznie gorsza niż aktualny poziom spożycia. Obecne działania i podejmowane decyzje główny wysiłek kierują na zwiększenie produkcji żywności oraz możliwie największe uzupełnienie braków przez import. Wokół tych problemów prowadzona jest — i bardzo słusznie — szeroka dyskusja w środkach masowego przekazu. Równolegle jednak, nie odkładając sprawy w czasie, trzeba proponować społeczeństwu gruntowną reformę cen detalicznych, cen opartych na, opłacalnych dla producentów rolnych, cenach skupu płodów rolnych. Przy aktualnym systemie cen na artykuły spożywcze doprowadzenie do równowagi na rynku żywnościowym staje się wręcz niemożliwe.

Powinniśmy jak najszybciej zlikwidować funkcjonująca u nas formę dotacji do spożycia żywności. Kwoty te trzeba przenieść na płace, tzn. zwiększyć o wysokość dotacji fundusz płac i ustalić ceny na artykuły żywnościowe wynikające z kosztów produkcji. Nie uciekniemy od tej operacji, a im szybciej to zrobimy, tym łatwiej będzie doprowadzić do równowagi na rynku żywnościowym. Koncepcja tej operacji, przy pełnej rekompensacie w wynagrodzeniach, musi być jak najszybciej opracowana i przedstawiona związkom zawodowym oraz całemu społeczeństwu — z całą otwartością i rzetelnością rachunku.

Efekty takiej operacji byłyby wielostronne i przynosiły całemu społeczeństwu korzyści, przybliżając znacznie w czasie termin zrównoważenia rynku żywnościowego. Wskażę tutaj tylko niektóre z nich — każdy jednak jest dzisiaj niezwykle istotny.

Operacja cenowa, o której tu mowa, spowodowałaby powszechne oszczędzanie żywności i na żywności, co wyeliminowałoby — znaczne ciągle jeszcze — jej marnotrawstwo. Dzisiaj wprawdzie trudno ustalić, w jakiej skali występuje zjawisko przeznaczania (a często celowego zakupu) artykułów zbożowych nie tylko na pasze, ale jedno jest pewne: żadne działanie administracyjne tego zjawiska nie zwalczy. Jeśli kilogram płatków owsianych kosztuje siedem złotych, a kilogram owsa na targu — dziesięć złotych, to żadne zabiegi nie wyeliminują wykupu płatków na pasze (a wprowadzanie na wszystkie artykuły systemu kartkowego mija się z logiką). Dzisiaj za niecałe trzy kilogramy zboża po cenie rynkowej można kupić kilogram smalcu w cenach detalicznych. W takiej relacji cen — smalcu nam zawsze będzie brakować.

Następnym wynikiem prawidłowo ukształtowanych cen na artykuły żywnościowe byłoby wznowienie chowu zwierząt w znacznej części drobnych gospodarstw rolnych, głównie na potrzeby własne. Zjawisko masowego wycofywania się z chowu zwierząt w drobnych gospodarstwach wystąpiło głównie w rejonach o wysokim stopniu zurbanizowania. Spowodowała je łatwość zakupu mięsa w dużych aglomeracjach miejskich i możliwość codziennego tam pobytu (dojeżdżający chłoporobotnicy). Wznowienie tego chowu jest dlatego istotne, że w żywieniu małej ilości zwierząt wykorzystuje się tzw. pasze marginalne, które — nie zużywane w gospodarstwie — są po prostu marnowane.

Innym istotnym i korzystnym zjawiskiem, które wystąpiłoby po regulacji cen żywności, byłoby zwiększenie samozaopatrzenia rolników, a przez to — zmniejszenia skupu (ale nie spożycia), co stworzyłoby warunki do bardziej racjonalnego przetwórstwa w istniejących zakładach przemysłu spożywczego. Wydawać by się mogło, że byłoby to zjawisko niekorzystne. Nic bardziej błędnego. Weźmy — dla przykładu — mleko. Ukształtowane ceny nakazują każdemu producentowi sprzedaż całości wyprodukowanego mleka, a na własne potrzeby — zakup w sieci detalicznej. Czyni to prawie każdy, dla kogo dostęp do sklepu nie jest uciążliwy. W błędzie byłby ten, kto by sądził, że sprzedający np. dostarcza mleko o czteroprocentowej zawartości tłuszczu, a kupuje chudsze, na czym zyskuje mleczarnia. Wartość odżywczą równą litrowi sprzedanego mleka rolnik uzupełni zakupioną śmietaną. Ale ten sztuczny obrót naprawdę bardzo drogo kosztuje. Transport, przerób, ścieki, energia — w imię czego za to płacimy? A przecież zdarzają się przypadki, że mleko z detalu wędruje jeszcze raz na punkt skupu.

W ostatnich latach podjęto wiele decyzji zmierzających do rozwoju rzemiosła, w tym również — spożywczego. I słusznie, bo jest to wciąż nie wykorzystana możliwość wzbogacenia rynku. Ale właśnie relacje cenowe są podstawowym hamulcem rozwoju rzemiosła spożywczego. Jako przykład podam piekarnie rzemieślnicze. Dzisiaj piekarz zaopatruje się w mąkę w hurcie uspołecznionym. Zanim trafi ona do piekarza — odbywa dość dalekie podróże.

Często obok piekarni czynny jest młyn kolegi rzemieślnika, a ten stoi przy targowicy, na której rolnik oferuje do sprzedania zboże. Wydawałoby się, że najprostsze w tej sytuacji byłoby domówienie się tych dwóch rzemieślników z rolnikiem, a wówczas problem zaopatrzenia piekarni w mąkę byłby rozwiązany — bez pośrednictwa wielu urzędów i instytucji. Niestety, nie ma komu w tej trójce ponieść kosztów dotacji.

Nie zawsze jednak również dostrzegamy fakt, że obecne relacje cenowe w skupie i detalu artykułów żywnościowych są źródłem niesprawiedliwości społecznej dla znacznej części naszego społeczeństwa. Otóż ci wszyscy, którzy zakupy robią na bazarach bądź bezpośrednio u rolników, a także sami rolnicy — płacą drożej, to znaczy, że nie korzystają wcale z dotacji do artykułów spożywczych. I nie jest to wcale sprawa marginesowa. Skazani są na to mieszkańcy z rejonów mniej zurbanizowanych, którzy mają przeważnie niższe niż gdzie indziej dochody. Równocześnie wypracowują oni w pewnym stopniu środki na dotacje, płacąc za niektóre artykuły przemysłowe ceny wyższe od kosztów proukcji. Stąd w sumie stopa życiowa znacznie odbiega tu od rejonów zurbanizowanych.

Są to niektóre argumenty przemawiające za możliwie najszybszą regulacją cen artykułów żywnościowych, przy możliwie najsprawiedliwiej opracowanej formie rekompensaty w płacach.

WACŁAW REDLIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

Z mieszanymi uczuciami przeczytałem artykuł pani Danuty Wroniszewskiej pt. „Telewizory w ogniu" (nr 11, z dnia 15 III br.). Sprawozdanie z niszczenia ponad 40 telewizorów przypomina niedawne obrazy dewastacji mienia pokazywane w Dzienniku Telewizyjnym. Oburzające jest, że instytucja dysponująca zdeprecjonowanymi telewizorami nie poczyniła żadnych starań o przekazanie ich na potrzeby wychowania technicznego w szkołach ogólnokształcących. Nieprawdą jest również, że nie ma podstaw prawnych do przekazywania urządzeń i materiałów na rzecz innych zainteresowanych jednostek. Dotychczas nie została uchylona Uchwała nr 164 Rady Ministrów z dnia 6 VIII 1971 r. w sprawie rozporządzania przez jednostki organizacyjne niektórymi ruchomymi składnikami majątkowymi. W uchwale tej czytamy: *„Jednostka państwowa może przekazywać nieodpłatnie zbędne przedmioty jednostce państwowej lub innej jednostce gospodarki uspołecznionej, jeżeli przedmioty te są potrzebne jednostce przejmującej na cele jej statutowej działalności oświatowej, naukowej, wychowawczej, szkoleniowej lub w zakresie pomocy społecznej albo w celu zwalczania klęsk żywiołowych"* (rozdz. 6, § 22, p. 2).

W tym świetle decyzje „prawa powielaczowego" są niezgodne z cytowaną powyżej Uchwałą!

Informuję również, że w Łomży istnieje instytucja, która statutowo zajmuje się organizacją zaopatrzenia w materiały odpadowe pracowni technicznych szkół ogólnokształcących. Jest nią Wojewódzka Pracownia Dydaktyczno-Techniczna.

W związku z powyższym apelujemy w imię potrzeb edukacji technicznej młodzieży: nie niszczcie materiałów, nie niszczcie urządzeń technicznych, przekazujcie je do naszej instytucji, wszak przygotowanie przedzawodowe oraz kształcenie postaw obywatelskich, to nie tylko sprawa samego szkolnictwa!

mgr TADEUSZ DUDO
dyrektor Wojewódzkiej Pracowni Dydaktyczno-Technicznej w Łomży

Ps. Informuję, że również filie naszej pracowni prowadzą działalność w zakresie przekazywania materiałów odpadowych. W celu nawiązania kontaktów przez zakłady pracy podaję ich adresy:
1) Filia WPDT w Grajewie, Szkoła Podstawowa Nr 4, ul. Nowa, tel. 20-76; 2) Filia WPDT w Kolnie, Szkoła Podstawowa Nr 1, ul. Wojska Polskiego 54, tel. 23-72; 3) Filia WPDT w Wysokiem Mazowieckiem, Liceum Ogólnokształcące, ul. 1000-lecia 6, 23-74; 4) Filia WPDT w Zambrowie, Liceum Ogólnokształcące, ul. Konopnickiej 5, tel. 22-65.

☆

Jestem inwalidką II grupy, mam nowotwór. Ponieważ bieżący rok został przez ONZ ogłoszony Międzynarodowym Rokiem Inwalidy postanowiłam napisać o tym, jak obchodzą się z nami. Mam troje dzieci w wieku 12, 15 i 16 lat, na które otrzymuję alimenty z ZUS w wysokości 600 złotych na każde. Moja sprawa dotyczy podwyżki zasiłku rodzinnego. Sporo osób podwyższony zasiłek otrzymuje już od stycznia, inni dostali wyrównania, a u mnie do tej pory bez zmian, choć interweniowałam w ZUS. Dlaczego? Przecież moja renta, zasiłek rodzinny i alimenty wynoszą razem 4460 złotych, co w przeliczeniu na jednego członka rodziny daje średnią 1115 złotych.

Powinnam jak najszybciej pójść do szpitala na operację. Niestety mam za mało pieniędzy, aby pozostawić dzieci same. Są za młode, aby gospodarować tak oszczędnie, jak ja to robię.

(nazwisko do wiadomości redakcji)

☆

Nie zaliczam się już wprawdzie do nastolatków, ale daleko jeszcze od nich nie odbiegłam. Poza tym mam z nimi ciągły kontakt i stąd znam ich problemy, miłości i przysłowiowe smutki. Z dużym też zainteresowaniem śledziłam zamieszczane przez Was pamiętniki nasto-

CIĄG DALSZY NA STR. 6

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Rolnicy wielokrotnie jeździli ze skargami do naczelnika, do geodezji i wojewody, a 30 stycznia 1981 roku skierowali zbiorową petycję, podpisaną przez 27 gospodarzy, do Najwyższej Izby Kontroli. Wynika z niej, że wieś w ciągu ostatnich trzynastu lat przeżyła dwie komasacje: łąk (wykonano rowy, doprowadzalniki, grobelki i drogi, z których wszyscy mieli prawo korzystać) oraz — w roku 1979 — pól. Przeprowadzono również korektę komasacji poprzedniej. Rowy, drogi, grobelki i doprowadzalniki geometra włączył do stanu posiadania rolników. W ten sposób gospodarz, który nie ma działki przy głównej drodze, nie może do niej dojechać. Na łąkach znajdowały się pokłady torfu, rosły drzewa; łomżyńskie zakłady ziemniaczaane zrobiły tam zbiornik na ścieki, po wcześniejszym wypaleniu całego drzewostanu. Po tym fakcie gospodarze do łąk swych nie tylko nie mogli dojechać, ale nawet nie mieli po co. Dopominali się więc o sprawiedliwość na zebraniach wiejskich i w Urzędzie Gminy, lecz nikt nie udzielił im żądanych wyjaśnień. Pozbawieni siana — płacili za łąki podatki i przeklinali zbiornik ze ściekami.

Po takich doświadczeniach i rugach z jednego miejsca na drugie trudno było liczyć na pomyślne przeprowadzenie drugiej komasacji. Naczelnik i geodeta postanowili dokonać jej z urzędu. Projekt podpisało niewielu gospodarzy, liczących raczej na pewne osobiste korzyści niż dbających o ogólny interes wsi: na lepszą i bliżej położoną ziemię, może jakiś tani nabytek z miedz i polnych dróg. Kilkunastu wstrzymało się przed złożeniem podpisu, a ponad połowa jednoznacznie sprzeciwiała się komasacji. Jednak urząd okazał się silniejszy. Przyjechał geometra, wyłoniono komisję scaleniową i dzieła dokonano.

Na spotkanie, które odbywa się na prośbę mieszkańców Mątwicy, wszyscy przyszli punktualnie. Przed remizą tłoczno jak na wiecu. Sołtys Bartnicki zwołuje wszystkich do środka. Pomieszczenie niewielkie. Na środku ze cztery rzędy ław; w głębi — scena, na niej motorek do pompowania wody, a obok strażacki wehikuł z początków naszego stulecia. Ktoś wyciąga stół prezydialny, krzesła i chce na scenie usadowić gości. Naczelnik proponuje im zadekowanie się przy drzwiach. Sołtys radzi usiąść na ławie wśród ludzi.

A oni milczą. Jeden spogląda na drugiego i takie badawcze spojrzenia obiegają całą remizę. Cisza jak makiem zasiał. Boją się mówić? Stracili wiarę, że to spotkanie może odnieść jakiś skutek? Swoje krzywdy opisali już na straty?

— Co jest?! — woła wreszcie jedna z siedzących w środkowym rzędzie kobiet. — Na komasację psioczy cała wieś, a teraz nie ma odważnych? — Jej uśmiech zdradza wiarę w pomyślny obrót sprawy.

Głos zabiera Wincenty Wysmułek: — Takie grunta dostałem, że tam tylko żaby hodować. Ani kawałka ziemi, gdzie można by posadzić ziemniaki czy posiać trochę żyta. Daleko położone, o siedemdziesiąt arów mniej i o wiele słabsza ziemia. Nikt mnie o zgodę nie pytał. Pan jeometra na moje pole przyszedł i tak zadecydował. Nawet z działki, która miała nie podlegać komasacji, odłożył półtora metra szerokości komuś innemu. Ale co zrobić? Tyle chłop w Polsce ma do gadania. Byłem w tej sprawie u naczelnika. Powiedział, że wymierzyli mi sprawiedliwie. Nie zgadzam się z tym. Żal mi tych utraconych siedemdziesięciu arów, bo stanowią jedną piątą stanu mojego posiadania, za którą do dzisiaj nikt mi nie zapłacił.

Helena Firgelewska: — Geometra obiecał dawać według kolejności. Nie dotrzymał słowa. Dzielił, jak popadło. Ten dostał najlepiej, kto najbliżej niego się kręcił. Mnie wsadził w klinki i dał mi takie liche pole, że teraz nie wiadomo nawet, jak je zaorać. Dlaczego mnie, samotną kobietę, tak na starość skrzywdził? — płacze. — Mam teraz pole o czterdzieści arów mniejsze. Utraciłam działkę na kamiennych łączkach. Zniszczyły ją ścieki z zakładów ziemniaczanych. Podjął się ją zagospodarować eskaer, a obecnie nawet nie wiem, kto się nad nią pastwi. Jednym odebrali te łąki, drudzy otrzymali je z powrotem. Gdy prosiłam geometrę o przywrócenie mojej działki, usłyszałam odpowiedź: „Janickiemu dałem, bo paliki podwoził".

Miałam pół hektara pola za stodołą — ciągnie żale Firgelewska — siałam tam warzywa i koniczynę perską. Pasłam krowę. Czasami urwałam zielonki dla świń. Też mi to zabrali. Na jednej działce rosły piękne drzewa. Straciłam je, bo ja, sama kobieta, nie dałam rady ich ściąć. Otrzymałam pole położone w zupełnie innym miejscu, w odległości dwóch kilometrów od domu. Stamtąd nie przyniosę już na plecach zielonki, jak przekonywała mnie pani z ministerstwa, że niby to nic trudnego, bo miedzą mogę przejść na skróty.

Same straty mnie czekają — kończy swój wywiad. — Zanim zajdę na to pole, zanim przyjdę... Na jesieni ręce opuściłam już zupełnie. Krowa na polu stała dwa tygodnie. Zapuściła się. Choruje mi do dziś, bo nie miałam czasu nawet jej wydoić.

Sąsiadka Firgelewskiej bierze jej wypowiedź na zdrowy chłopski rozum: — Ma kobieta rację, że żałuje straty swoich poprzednich pól jak kogoś bardzo bliskiego. Znała je od dziecka. Miała chwilkę czasu, to wyszła za stodołę, narwała zielonki i podrzuciła świniom. Siała tam też warzywa. Gdy była susza, wzięła wiaderko i zrobiła im prysznic. Nie wyrwał ich złodziej, bo za blisko domu. A teraz co ma? Same wądoły po żwirze, w niektórych z nich jeszcze woda stoi.

Witold Wasik powiada, że przed komasacją jego pole liczyło trzy i pół hektara. Obecnie, po oddaniu rowów i dróg oraz wyrzuceniu go z poprzednich łąk i z pola — nawet nie wie, ile posiada. Nie dotarły do niego dotychczas żadne kwity, żadne wyjaśnienia.

Jan Nasiadko część łąki stracił na rów. Zamulił się akurat na jego działce. Przyszła koparka, przeczyściła przepust i wysypała piasek na pozostałą część łąki. Interweniował w gminie. Naczelnik obiecał wysłać kogoś do wyrównania. Jednak Nasiadko nie da wywieść się w pole. Powiada: — Na piachu trawa nie urośnie — i domaga się rekompensaty. Przed komasacją miał przy dworku pole o powierzchni 63 arów. Dobra to była ziemia, więc siał na niej pszenicę, a że znajdowała się trochę za daleko, więc prosił geometrę o zamianę. Dostał bliżej, lecz tylko 45 arów. — Dlaczego — pyta — jeśli to jest ta sama klasa ziemi, bo na niej też mogę siać pszenicę?

Franciszek Laskowski posiadał ładną, szeroką działkę blisko domu. Prosił geometrę o pozostawienie jej w spokoju. Niestety, musiała zmienić właściciela, i to tylko z kaprysu urzędu, a on dostał lichszą w drugim pasie i jeszcze gorszą — w siódmym. Nie rozumie, dlaczego dla innych, takich samych, jak on, rolników, znalazły się ładne, duże pola tuż przy jego domu, tzn. w pasie pierwszym?

— Scalili mi niepotrzebnie — mówi — bo bardzo chciałem pozostać w starym posiadaniu. Kochałem moje poprzednie pole. Wiedziałem, jak postępować z nim w czasie suszy, jak w latach wyjątkowo mokrych. Ziemia to żywa istota i trzeba ją bardzo dobrze rozumieć, a wtedy i plony przyniesie, choć aura będzie szczególnie niekorzystna. Nie można sprzedawać jej jak drzewo, wymieniać na grube czy drobne.

W podobny sposób wypowiadają się inni rolnicy. Wszyscy mówią o doznanej podczas komasacji krzywdzie i utracie swoich pól. Padają coraz śmielsze oskarżenia pod adresem geometry i naczelnika — przede wszystkich za to, że nie przestrzegali ustalonego porządku, tzn. nie dzielili ziemi według kolejności gospodarstw, nie uwzględniali próśb i sytuacji niektórych rolników.

Halina Pogroszewska zawsze troszczyła się o swoje pole. Co roku wywoziła na nie obornik, nawozy mineralne. Ziemia jej była dobrze zagospodarowana i bardzo urodzajna. Teraz otrzymała hektar gruntów zapuszczonych, przerośniętych perzem, leżących odłogiem przez wiele lat. Nie da się tam niczego zasiać, bo to przecież hektar całkowitego nieużytku. Płacze kobieta, bo ma sześcioro dzieci. Przedtem miała osiem urodzajnych hektarów; obecnie, choć powierzchnia wzrosła, użytków pozostaje mniej. Przy szacowaniu ziemi geometra powinien brać też pod uwagę kulturę jej uprawy. Dostały

pęknięta

się Pogroszewskiej piach, doły, kawał drogi. Naczelnik radził jej tam las zasadzić. — Jeszcze stać go na kpiny — wyznaje lamentując. — Gdzie na te trudne lata podziała się moja ziem[illegible]? Rodzinna. Dobra. Żyzna. [illegible]na.

Gos[illegible]rstwo Teresy Chętnik liczy 3,97 hektara. Miała przed komasacją 20 arów brzeziny. Geometra dołączył jej dwa razy tyle. Najsmutniejsze jest jednak to, że w papierach stoi las, a w rzeczywistości dostały się jej same pieńki, wądoły i kupa gałęzi. Poprzedni gospodarz ograbił działkę dokładnie. Zwróciła się do gminy z prośbą o uwzględnienie tych nieużytków, lecz otrzymała odpowiedź: „Proszę pani, przecież sam geometra udowodnił, że to jest las". Posiada więc ziemię gorszą i uszczuploną o 27 arów.

Skargom nie widać końca. Bolesław Laskowski dochodzi utraty ponad dwóch hektarów pola. Poprzednio posiadał pół hektara „latających" piasków. Po komasacji dostał ich całe cztery hektary. Gabriel Wilimczyk gospodarzył na dziesięciu hektarach i trzydziestu arach. Obecnie ma 9,30. Geometra próbował mu wmówić 10,46. Przed operacją pole było w pięciu kawałkach. Teraz — w dziesięciu.

— To je dopiero komasacja! — rzuca ktoś przy drzwiach. Niemal cała remiza trzęsie się od śmiechu. Gabriel Wilimczyk szybko uspokaja rozbawionych: — To trzeba płakać nad tym, nie się śmiać!

Podobne problemy mają pozostali rolnicy. Wymieniają tych, którzy korzystnie wyszli na komasacji: Zdzisław Chętnik dostał dużo, bo i w siedlisku, i w drugim, i w czwartym pasie. Podwójnie wziął — na siebie i na żonę. Jest prezesem rolnym, więc uważa, że mógł sobie na to pozwolić. Pięciu rolników nie dość że korzystnie na komasacji wyszło, to jeszcze sobie dokupiło ziemi tam, gdzie im się podobało; gruntów ornych i łąk.

— Piaścik, na przykład — mówi Bratnicka — sam się do tego przyznał. Aż dwa dni stracił na chodzenie za geometrą, ale tam pole otrzymał, gdzie sobie zażyczył. Chwali się więc teraz po wsi: „Kto ma w kieszeni i w głowie, ten nie ma ziemi w klinach".

Remiza jest wzburzona. Każdy z rolników ma żal do któregoś ze współmieszkańców za podkupienie się, wysługiwanie naczelnikowi i geometrze, za sprzedaż ziemi, która podczas komasacji miała nie być sprzedawana. Nieliczni twierdzą, że pochodzi ona z miedz i dróg oraz z owych, pourywanych każdemu, kilkunastu, kilkudziesięciu arów. Węszą aferę. Wskazują jej tropy. Atakowani są także członkowie komisji scaleniowej: Marian Nasiadko, Bronisław Kołdys, Józef Chętnik. Obronną ręką wychodzi tylko Tadeusz Żaczek. Dziwne: jako członek komisji scaleniowej — również nie wie, skąd się wzięły podczas komasacji przeznaczone do sprzedaży grunty, bo przecież eskaer do dziś ma taki sam areał.

Zrywa się ogólny gwar. Każdy jednocześnie przedstawia swoją komasacyjną krzywdę, tłumaczy, ile czego dostał i w którym pasie. Niektórzy — zdumieni i ogłupieni bezmiarem podłości ludzkiej i swego nieszczęścia — tracą impet i odwagę w tym powszechnym zamieszaniu.

— Cichojta, cholery — grzmi spod sceny sołtys.

Za cichy jego głos, za delikatny ton. Zagłusza go jedno wspólne wołanie: — Skrzywdzili nas! Skrzywdzili! Chcemy powrócić do stanu sprzed komasacji! Żądamy tego od naczelnika! Od wojewody! Od geodezji! Żądamy zgody na wykup eskaerowskiej ziemi, jeśli taka na terenie naszej wsi istnieje!

Rozpoczyna się załatwianie osobistych porachunków. Zdzisław Sadowski oskarża Wacława Śmiektę o zagarnięcie części jego majątku dla swojej rodziny. Śmiekta wyśmiewa Sadowskiego, że nie rozumie, co to jest komasacja.

— Chłopie — mówi — jeśli masz mniej, to znaczy, że dostałeś lepszą klasę ziemi, a ode mnie się odczep.

Zmierzają do siebie jak dwa rozjuszone koguty. Na szczęście ktoś uderza żelazem o stary strażacki wehikuł. Rozlega się szlachetny, metaliczny dźwięk. Remiza milknie.

Naczelnik z trudem łapie nazwiska i zapisuje kierowane pod jego adresem zarzuty. Wreszcie zabiera głos. Odwołuje się do projektu komasacji i do rolników, którzy go podpisali, oraz do wytypowanych spośród mątwickich gospodarzy członków komisji scaleniowej; wręcz karci ten zbiorowy przejaw interwencji, znajdujący ujście dopiero po dwóch latach od komasacji. Próbuje wszystkich przekonać, że szacowanie gruntów odbyło się sprawiedliwie. Tłumaczy się ze sprzedanej podczas komasacji ziemi: — Rolnicy ci już wcześniej złożyli podania. To dobrzy gospodarze. Sami specjaliści. Należało im sprzedać.

Argumenty nie trafiają do ogółu. Znowu zrywa się harmider. Jak ich wszystkich naraz wysłuchać? Jak im pomóc, gdy w mątwickiej remizie nakładają się i krzyżują przeciwstawne racje? Naczelnik nie wspiera mnie w tej potrzebie. Czuje się tu tylko gościem. To przecież redakcja go poprosiła, nie on redakcję. Sołtys całkiem zwątpił w opanowanie sytuacji. A ja — co jednych uciszę, to drudzy zaczynają.

— Dlaczego nikt nie pozwolił nam rozkupić eskaerowskiej ziemi? — pytają chórem. — Przecież chcieliśmy. Pisaliśmy podania, ale pierwszeństwo miał sektor uspołeczniony. To eskaerowi dobrze zrobiła komasacja, bo dostał pola w jednym kawałku. Nam podzieliliście jakkolwiek.

Próbuję dociec źródeł mątwickiego niezadowolenia. Stanisław Gałązka upatruje ich w powstawaniu gruntów eskaerowskich. Powiada: — Wielu rolników przekazało swoje schedy za rentę. Grunty ich przejął eskaer i użytkował. Znajdowały się one w ponad stu kawałkach i liczyły w sumie ponad sto hektarów. Sam pan przecież wie, że w ostatnich latach był u nas trend na zakładanie gospodarstw przez eskaery. Widać i naczelnik w Nowogrodzie bardzo na nie liczył, jeśli utrudniał rolnikom nabycie tej ziemi. A komasacja to głupiego robota. Scalili eskaerowi, a skłócili wieś. Teraz jest inna polityka i gospodarze w Mątwicy na pewno ziemię tę rozkupią. Komasacja była więc zupełnie niepotrzebna.

Dyrektor Wojewódzkiego Biura Geodezji i Terenów Rolnych w Łomży, Mieczysław Dmochowski, wsłuchuje się w nagraną na spotkaniu taśmę.

— Tak — powiada. — Oni są teraz niezadowoleni, ale po pięciu latach przyzwyczają się do swoich pól i będą nam jeszcze wdzięczni. Zrobiliśmy im dobrze. Mieli paski, nie działki, o szerokości kilkunastu metrów, a długości czterech kilometrów. Komasację przeprowadzał najlepszy nasz fachowiec od tych spraw. To nie był człowiek, którego dałoby się przekupić. On to wszystko bardzo głęboko przeżywał. Kiedyś wrócił do domu, położył się, by chwilę odpocząć i... śpi do dzisiaj. Miał 52 lata. Smutne jest życie geodety.

Nie przeczę. Profesja geodety to niełatwy chleb. Szczególnie podczas komasacji, kiedy nie sposób wszystkim dogodzić. Bywało, w Kieleckiem czy Krakowskiem, wieńczyły ją pożary zagród całych wsi. W Łomżyńskiem, o ile mi wiadomo, do tak drastycznych wypadków nigdy nie doszło. Udawały się często i te z urzędu, i te społeczne komasacje. Jak by nie patrzeć, rezultatem komasacji, oprócz rzeczywistych korzyści gospodarczych, wynikających ze scalenia gruntów, musi też być korzyść społeczna — lepsze współżycie sąsiedzkie. Cóż natomiast po komasacji, z której — tak jak w Mątwicy — większość mieszkańców wsi jest niezadowolona, a scaleniu towarzyszyło również rozwarstwienie działek, jakby ziemia była tortem, który można dzielić według sympatii do biesiadników. Największy kawałek przypadł Spółdzielni Kółek Rolniczych. Zamiast zająć się usługami, przestawiła się na sianie i zbieranie. Dałoby się to jakoś jeszcze rozgrzeszyć, gdyby we wsi nie było chętnych na hektary. Czas rozparcelować to nieudaczne kółkowe gospodarstwo, proponują chłopi. Chcą tę ziemię.

Już ślą podania.

Powtórzyłem rolnikom opinię dyrektora Wojewódzkiego Biura Geodezji i Terenów Rolnych w Łomży, Mieczysława Dmochowskiego, który powiedział: — Po co ten krzyk? Z czasem przyzwyczają się. Odpowiedzieli: — A gdyby pan dyrektor spróbował przenieść się ze swego mieszkania do piwnicy. Ciekawe. przyzwyczai się czy nie?

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZYI

zgoda

kontakty kontaktów

DOKOŃCZENIE ZE STR. 6

latków. I tu zaskoczenie: w tych pamiętnikach nie ma nic z młodości. Ludzie, którzy mają po naście lat, myślą u Was kategoriami ludzi dorosłych, nawet — powiedziałabym — zbyt dorośle. Dziwi mnie taki wybór pamiętników. To dobrze, że młodzież interesuje się sprawami społecznymi i gospodarczymi, ale nie okradajcie ich z młodości. Wiem przecież, że dla nich sprawy ważne, przeżycia głębokie i bolesne, to miłość, pierwsze niepowodzenia, rozterki, szkoła i związane z nią problemy. Co ma myśleć nastolatek po przeczytaniu kilku publikowanych przez Was pamiętników? Że jest niedostosowany społecznie, jest jeszcze za głupi? Czy nie ma w Waszym zbiorze tekstów, w których można by znaleźć odrobinę szaleństwa młodości, żeby i ten płomyk zawitał w Waszym piśmie. Wskrzeście w sobie iskrę młodości, przypomnijcie sobie, ile znaczyło kilka lub kilkanaście lat wstecz czyjeś spojrzenie, uścisk dłoni, jak to się przeżywało! Bądźcie po prostu młodzi duchem, bo wiekiem już Was nie odmłodzę.

Stała czytelniczka z Łomży (nazwisko i adres znane redakcji)

☆

Ostatni mokry rok stał się dla nas rolników ze wsi Rudniki w gminie Zawady, istną zmorą. Chodzi o drogę do wsi, która w chwili obecnej jest w takim stanie, że przewracają się na niej samochody, a konie mają kłopoty z uciągnięciem nawet pustego wozu. Rolnik, który wozi mleko z dwóch wiosek mówi, że musi z tego zrezygnować bo już jednego konia przerwał, a teraz drugi mu się pewnie zmarnuje. W razie nieszczęśliwego wypadku, chorego trzeba na plecach wynosić ze wsi. Nie wiemy co robić i gdzie się zwrócić o pomoc w naszej sprawie. Interweniowaliśmy już w Wydziale Komunikacji w Zambrowie. Odesłano nas do naczelnika gminy. Naczelnik natomiast oświadczył, że nie ma funduszu na modernizację drogi. W styczniu br. zwróciliśmy się do niego ponownie. Tym razem udało się nam wypożyczyć koparkę na kilka dni. Niestety nasza praca nie na wiele się zdała, gdyż nie remontowana od ponad 30 lat droga ma pozarastane rowy i jest w ogólnie bardzo złym stanie.

dziewięć podpisów mieszkańców wsi Rudniki w gminie Zawady

☆

Z wielkim szacunkiem, uznaniem, nadzieją i zaufaniem zwracam się do Was w sprawie ważnej nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich kobiet, matek i żon z Czyżewa. Jesteśmy zrozpaczone, a przyczyną naszej rozpaczy są, liczne w Czyżewie, meliny pijackie. Stały się one dla nas przyczyną prawdziwych dramatów rodzinnych i dramatu społecznego. Dniem i nocą, w niedzielę i święta, zawsze i wszędzie można nabyć za 300 złotych butelkę wódki. Jak zgubne pociąga to za sobą skutki nie muszę tu przecież pisać. Wspomnę tylko, że już kilka osób umarło po spożyciu zbyt dużej dawki alkoholu. Również nie muszę mówić o fatalnym wpływie takiej sytuacji na młode pokolenie. Najbardziej zdumiewa bezkarność tego ponurego zjawiska. Może Wasza interwencja przyniesie upragnioną zmianę.

(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

☆

Jestem starym kawalerem. W mojej rodzinnej wiosce takich kawalerów, jak ja jest dziewięciu. Najmłodszy liczy sobie 52 lata. Kiedy przyjadę do Łomży na zakupy, widzę tutaj bardzo dużo pięknych kobiet w moim wieku. Jak się domyślam część z nich, to zapewne panienki. Czy redakcja poczytnego tygodnika, który dociera do wszystkich rąk, nie zechciałaby pomóc takim ludziom, jak ja? Przydałaby się maleńka rubryczka matrymonialna, organizowanie przez pismo spotkań kandydatów i kandydatek, a w końcu huczne weseliska.

JERZY ANTYKWARIAT
(adres do wiadomości redakcji)

interwencje

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

dzi, ale to on sam. Ja nic nie wiedziałam — wstydziła się wyraźnie słów, które przeczytała. — Władziu, chodźże już wreszcie, Władziu! — i tonem usprawiedliwienia: — On taki nerwowy w tej chorobie.

Poszłam do obory, obeszłam stertę końskiego łajna, wzięłam rękę opierającego się stworzenia i wyprowadziłam je do matki. Głowa za duża w stosunku do przykurczonej postaci, twarz nieforemna, czoło zbyt szerokie i wysokie, na skroni guz wielkości śliwki; drugi wystawał spomiędzy włosów. Połowa twarzy sparaliżowana, prawa ręka zwisała bezwładnie, nogi się plątały.

— Musimy jechać do lekarza, do B. — tłumaczyłam. — Zbada go i powie, co należy robić dalej. Postara się pomóc. Trzeba się szybko przebrać, samochód czeka.

— Proszę pani, on z tak bliska nie słyszy — uprzedziła matka — trzeba z daleka.

Ale i z daleka nie rozumiał. Przekonywałam więc, aby jechali oboje.

— W polu robota, dzieci same zostaną...

Zdecydowała się jednak i potem przez cały dzień nie dała poznać, że żałuje tej decyzji.

Weszłam za nimi do mieszkania, domyślając się wcześniej do jakiego typu ludzi należy zaliczyć tę rodzinę. Spotykałam takich niemało w służbowych wędrówkach. W każdym mieście, każdej gminie, znajduje się taki dom, w którym ściany niewiele są jaśniejsze od podłogi, gdzie jest wilgoć i grzyb, ale nie ma najpotrzebniejszych sprzętów. W takim domu nie brakuje też zazwyczaj gęb do nakarmienia, a ręce rodzicielskie są mniej sprawne niż innych ludzi, głowy mniej zaradne.

W tym domu było ośmioro dzieci. Ich rodzic, rozbudzony niespodziewaną wizytą, wstał właśnie z łóżka, w cztery godziny po swojej małżonce. Gęstych, sterczących włosów nie zdążył jeszcze przyczesać, postanowił jednak nie przeoczyć okazji i stanął przede mną z pękatą papierową teczką, przewiązaną sznurkiem.

— Pani redaktor, ja tu chciałem i swoją krzywdę pokazać — zaczął bo jak kto z Warszawy nie przyjedzie, jak sprawiedliwości nie zaprowadzi, to nam przyjdzie pójść z torbami. A co te biedne dzieci winne, że ojciec chory, nie może pracować, jak inne? Co one winne, że ten łobuz pobił, pokaleczył, inwalidą zrobił na całe życie? One nic nie winne! Chcą żyć, jak inne dzieci, chcą jeść, chcą się ubrać. Wiec jak nikt z Warszawy się nie weźmie... Napisałem do Rady Ministrów, nie ma odpowiedzi. Może pani redaktor zadzwoni?

Matka nalała wody do miednicy, ściągnęła z Władka sweter, przygięła jego głowę nisko nad wodą i zaczęła myć szarym mydłem do prania. Tymczasem ojciec podsunął mi kolejne podania, skargi, świadectwa lekarskie, pisma sądowe, orzeczenia ZUS-u, zaświadczenia z pracy. Wynikało z nich, że przez kilka lat po ślubie pracował na gospodarce matki, z którego odszedł z powodu niesnasek rodzinnych. Zamierzał kupić gospodarstwo z Państwowego Funduszu Ziemi, wraz z budynkami, tymi właśnie, w których się znajdowaliśmy. Gospodarstwo już wówczas było zaniedbane — w ciągu powojennego dwudziestolecia zmieniło się trzech dzierżawców. Zapłacił pierwszą ratę — 20 tysięcy złotych, wyremontował stodołę. Zorganizował kółko rolnicze w swojej wsi i został jego prezesem. Gdy kółko się rozpadło, podjął pracę w Międzykółkowej Bazie Maszynowej w sąsiedniej wiosce jako traktorzysta. Gospodarstwo prowadziła żona. W tym samym czasie został wybrany na sołtysa we własnej wsi.

Na przedwiośniu 1970 r. koleinami wyciętymi w śniegu jechały naprzeciw siebie furmanka i ciągnik. Zbliżyły się, stanęły. Traktorzysta, pierwszy gospodarz we wsi, zażądał ustąpienia z drogi. Co odpowiedział woźnica, nikt teraz dokładnie nie dojdzie. Tamten zeskoczył z siodełka, uderzył raz i drugi. Chłop był na schwał. Kilkakrotnie stuknął głową przeciwnika o deskę.

Potem był szpital, proces sądowy, wystąpienie do ZUS-u o rentę inwalidzką. Orzeczeniem obwodowej komisji lekarskiej do spraw inwalidztwa poszkodowany został uznany za inwalidę III grupy, a ZUS przyznał mu rentę w wysokości 750 złotych. Ale dwa lata temu jej wypłatę wstrzymano — z powodu „*znacznej poprawy stanu zdrowia*". Sąd ubezpieczeń społecznych uznał przy tym, że objawy chorobowe nie były następstwem wypadku, lecz pochodzą z wcześniejszego okresu.

— Do roboty iść każą, pomóc nikt nie chce. A kto mnie do roboty weźmie? — pytał.

— Rzeczywiście — pomyślałam — ja sama...

Do bliźniaczek asystujących naszej rozmowie dołączyły trzy młodsze siostry, które powróciły ze szkoły. Usiadły rządkiem na pryczy przykrytej szarym kocem, tornistry położyły u stóp. Napięcie w oczach śledzących gesty ojca i moje reakcje: ale ani jednej uwagi, żadnego słowa, nawet uśmiechu.

— Idę gdzieś, a nie wiem, czy wrócę — ciągnął. — Pojechałem do Krakowa, miałem podpisać zgodę na operację Władzia, na ulicy upadłem, ludzie podnieśli, do szpitala zawieźli. Parę tygodni przeleżałem. W domu... ile to razy żona pogotowie wzywała! Jak trupa brali do szpitala. Ale się nie daję... tu sufit poprawiłem, bo się lało niemiłosiernie, a na tamtą ścianę położyłem tynk. Na resztę nie starczyło metriałów, nie przydzielili więcej, nie obchodzi ich, że dzieciom na łóżko się leje. Żem zdrowy, powiadają. A prawo jazdy zabrali, przy maszynach pracować zabronili... Ale najgorsze, że długo pracować nie mogę, po troszeczku. Odpocząć co godzinkę, to jeszcze pójdzie, ale ciurkiem osiem godzin w żaden sposób się nie da.

Matka nie odzywała się ani słowem, jakby nie jej dotyczyła rozmowa. Syn chował wstydliwie za matką chude plecy z pooperacyjnymi bliznami. Dotychczas ani jednym gestem nie zdradzał własnych uczuć, które przecież były powodem mojego przyjazdu. Zostawiłam ich, udając się na poszukiwanie winnych niewrażliwości na ludzką niedolę.

Moi kolejni rozmówcy czuli się w porządku. Wszyscy podejmowali działania. Nie ich wina, że nieskuteczne.

Opiekunka społeczna wykazała się odpowiednimi dokumentami: „*W odpowiedzi na pismo z dnia 10.03. 1975 Urząd Gminny informuje, że Obywatel [...] otrzymuje z Wydziału Oświaty Urzędu Powiatowego zapomogę w wysokości 800 zł miesięcznie na dzieci w wieku szkolnym. Ponadto przyznano Obywatelowi w 1975 r. odzież i obuwie dla dzieci na kwotę 1500 zł. Ob. [...] jest całkowicie sprawny fizycznie i zdolny do pracy, w związku z tym Urząd Gminny nie może mu przyznać żadnej zapomogi*".

Na wsi praca jest najważniejszym kryterium oceny człowieka. Kto nie pracuje, nie może być ceniony; jest leniem. Urząd Gminny zapomniał jednak, że przecież był okres, kiedy Obywatel nie był powszechnie uznawany za lenia, cieszył się nawet pewnym szacunkiem, skoro wybrano go na sołtysa. Urząd zapomniał także o treści orzeczenia komisji lekarskiej, którego kopię sam sporządzał. Owa komisja podejrzewała padaczkę ze stanami pomrocznymi; stwierdzała niezdolność do prowadzenia pojazdów mechanicznych, pracy na wysokościach, przy maszynach i w narażeniu na środki neurotronowe oraz w pełnym wymiarze godzin. Proponowała zatrudnienie w warunkach pracy chronionej. Skierowała go na dalsze leczenie w Poradni Zdrowia Psychicznego.

Opiekunka społeczna próbowała jeszcze umieścić Władka w domu opieki, na co nie zgodziła się matka. Pozostało więc zabiegać o zasiłek 500-złotowy, przysługujący na dzieci kalekie, dowiedziała się jednak, że rolnikom taki zasiłek nie przysługuje, więc zaniechała dalszych starań.

Młode wicedyrektorki gminnej szkoły zbiorczej: — Dzieci nie sprawiają nam kłopotów. Żadne nie jest specjalnie zdolne, ale mieszczą się w granicach normy. Są zżyte, otoczone widocznie troską rodziców, zwłaszcza matki. Byłoby szkoda rozłączać ich z sobą lub z rodzicami. Chcielibyśmy matkę zatrudnić jako sprzątaczkę, jednak jako rolniczce posiadającej gospodarstwo nie przysługiwałby jej zasiłek rodzinny, znacznie przekraczający samą pensję. Zrezygnowała więc z posady, czemu się nie dziwiłyśmy. Najmłodszej dziewczynce przydzieliliśmy bezpłatne obiady. Dlaczego nie wszystkim? Na całą gminę mamy dziewięć bezpłatnych bonów. Na gwiazdkę zbieramy dary dla dzieci z domów dziecka; część odzieży i obuwia przeznaczamy dla nich. Otrzymaliśmy wreszcie telefoniczne zapewnienie inspektoratu, że na powrót będzie im wypłacana zapomoga, cofnięta w ubiegłym roku z braku funduszów. Wprawdzie tylko czterysta złotych, ale i na to mieliśmy nikłe nadzieje. Jak pani widzi, szkoła zrobiła wszystko, co mogła.

Sąsiedzi: — Teraz to już tam się poprawiło. Najgorzej było, gdy tamtego pobito, bo on w szpitalach, a w domu drobiazg. Nawet ziemi obrobić nie mogła. Teraz najstarszy już pomaga; za pilarza do lasu się w zimie najął, to te dwa tysiące przyniesie. A młodsze też podrosły... już ich bieda nie zeżre.

Naczelnika Urzędu Gminnego wyciągnęłam z posiedzenia na temat wniosków z dopiero co ukończonego przeglądu gminy. Ta ocena źle nie mogła wypaść, skoro gmina zdobyła w tym roku tytuł mistrza gospodarności w województwie. Sam gabinet naczelnika nastrajał ufnością w jego gospodarską rękę. Posadzka lśniła, bordowy dywan oddychał środkami czyszczącymi, podobnie fotele, dobrane barwą. Wszystko na swoim miejscu, niczemu nie można było zarzucić jednego uchybienia. Sam naczelnik — człowiek energiczny, działający bez wahań wedle prawideł, uznanych wcześniej za słuszne i konsekwentnie przestrzeganych. Ściągnął do swojego gabinetu grupę pracowników, którzy zajmowali się sprawą Obywatela. Jeden z nich wkroczył z grubą teczką pod pachą.

— A tak, bo to nasz stary klient — wyjaśnił naczelnik. — Gdyby takich w gminie było dziesięciu, to do ich obsługi trzeba by przeznaczyć dwóch pracowników. Samych podań jest tu kilkanaście.

Naczelnik nie ukrywał swojego zdania. Leń, pracować mu się nie chce, czeka na zapomogi. Pisał do gazet, do Radiokomitetu. W 1971 aktyw Powiatowej Rady musiał odbyć posiedzenie na jego temat. Umorzono mu zadłużenie podatkowe, proponowano kolejno dwa mieszkania — nie przyjął, znaleziono miejsca dla dzieci w domu dziecka — nie zgodził się. Co więcej można dla niego zrobić? Płacić mu stałą pensję? Gdyby nawet znalazły się na to pieniądze, byłoby to niemoralne. Inni są w gorszej sytuacji, choćby jego brat: psychicznie chory. Ale żona pracowita, dzieci czyste, dom zadbany.

Tyle, że tam jest zaledwie dwoje dzieci.

Naczelnik nie dopuszczał myśli, że mógłby sobie cokolwiek zarzucić. Był przekonany, że wykazał aż nadto dobrej woli. Ilu pracowników traciło czas na wysłuchiwaniu skarg, odpowiadaniu na podania, zamiast zająć się pożyteczną pracą? A jak Obywatel obciąża konto gminy, obniża wskaźniki! To studnia bez dna.

Próbuję obliczyć, ilu to ludzi zajmowało się już sprawą Obywatela ilu usiłowało mu pomóc, gdyż jednak pomoc uznawano za niezbędną. A rodzina nadal mieszka w domu, który już 6 lat temu został przeznaczony do rozbiórki. Pierwsza silniejsza wichura może go zwalić na głowę mieszkańców. Dlaczego w takim razie nie zostały przyjęte proponowane mieszkania? To proste — nie mogły być przyjęte: jedno, w odległej wiosce, wiązało się z porzuceniem dzierżawionej ziemi, z której utrzymuje się rodzina, drugie zaś liczyło raptem 38 metrów kwadratowych. Miałoby w nim mieszkać dziesięć osób, w tym sześciu uczniów i dwóch ciężko chorych!

Ileż w tej sprawie działań pozornych — dla sprawozdań i ukojenia urzędniczych sumień! Jak dwuznaczna w tym wszystkim rola ZUS-u: to przyznawanie renty, odbieranie, wielokrotne komisje, podejmowanie orzeczeń i ich unieważnianie. Wszystko zapewne zgodnie z literą prawa, w trosce o nietrwonienie dobra społecznego. Tymczasem jeden pobyt w tym domu przekonuje, że nędza wyziera z każdego kąta, a oczy dzieci wołają o współczucie.

Chorobę Władka ledwie kto zauważył. „A tak, coś słyszałam, podobno mają dziecko upośledzone umysłowo". O matce niemal się nie wspomina, a jeśli już, to jak o samicy, nadmiernie przywiązanej do swoich szczeniąt, sprzeciwiającej się racjonalnym działaniom mądrzejszych, tzn. tych, którzy nie pozwolili sobie na taką kupę dzieci. „Gdy Władka chcieli zabrać do domu opieki, powiedziała, że jej dziecko zmarnują".

Nie opowiadała mi, jak jej ciężko, nie żaliła się. W wieloletniej harówce zżyła się ze swoim milczeniem. Gdy zapytałam, jak sobie wyobrażała życie dwadzieścia lat temu, tuż po ślubie, zarumieniła się jak nieśmiała dziewczyna.

— To nie było nic wygórowanego — powoli wymówiła rzadko używane słowo. — Wiedziałam, że samo nic nie przyjdzie. Będziemy musieli pracować... oboje... dojdziemy do czegoś, dzieci wyjdą na ludzi.

Nie skarżyła się na męża: — Musi dłużej spać. Popracuje, zaraz coś się w głowie robi.

Ukryła, że dokuczał, do bicia się brał, podobno popić lubił.

— To z nerwów, że nic się nie wiedzie. A pić, to już dawno nie... bo za co? Skąd brać? Dzieci coraz większe, wydatki coraz większe, ubierać się chcą, płaczą, że zawsze najgorsze. A tu nawet na dzierżawę nie starcza. A nawozy? A mieszanki? Sprzedam świnie, to ledwie najpilniejsze potrzeby opędzę.

Usprawiedliwiała męża: — W gminie go nie lubią, bo się upomina. Rentę mu odebrali, niesprawiedliwie. Dzieciom od ust odjęli. I sąd wojewódzki zmniejszył odszkodowanie od tamtego, a najgorsze przez to pobicie przyszło przecież.

Liczyła tylko na siebie, bo nie za te wyżebrane zapomogi mogła nakarmić dzieci. Kto wie, czy w tej całej historii nie ona jest postacią najdramatyczniej uwikłaną? Jedna decyzja sprzed lat ustawiła jej życie na torze, z którego nie ma odwrotu. Wystarczyło wybrać tego drugiego. Ile rezygnacji wymagało oswojenie się z myślą: nie są we dwoje z ośmiorgiem dzieci, lecz jest ona z dziećmi i jeszcze on — jako uciążliwy dodatek. Gdy pogodziła się z tym faktem — troszczyła się już tylko o to, żeby ich wszystkich nakarmić i ubrać. Na niewiele więcej było ją stać — na tyle by najstarszą córkę posłać do szkoły handlowej i dopiero teraz, z pomocą dorosłego

już pierworodnego, zadbać o te cztery hektary, które miały być ich własne, a które władze gminy zgodziły się jedynie oddać w dzierżawę, skoro nie gwarantowali wykupu ziemi. I może udałoby się wreszcie pewniej stanąć na nogach, gdyby palec losu nie spoczął znowu na tym domu.

W dokumentacji miejscowego ośrodka zdrowia znajduje się zapis sprzed czterech lat. *„Władysław, syn Władysława, skarżył się na bóle ręki. Lekarka przepisała leki, jednocześnie skierowała pacjenta do chirurga w celu usunięcia guza na skórze głowy, prawdopodobnie włókniaka”.* Na tym zapis się kończył, następnego nie było. Włókniaki są to nowotwory niezłośliwe, których usuwanie nie stanowi specjalnego problemu chirurgicznego.

W drodze do B. ja na przednim siedzeniu, matka z synem z tyłu — przejrzałam historię choroby Władka. To były wprawdzie włókniaki, ale specjalnego rodzaju. Usadowiały się na włóknach nerwowych. Nie sprowadzały natychmiast śmierci, niszczyły jedynie przewody nerwowe, wyłączając z pracy kolejne części ludzkiego ciała. Podjęto leczenie operacyjne.

Odpisałam fragment zaświadczenia lekarskiego, podpisanego przez prof. Jana Rudnika w 1974 r., kiedy chłopiec opuszczał sanatorium w Rabce po dwuletnim tam pobycie i ukończeniu siódmej klasy. *„W okresie leczenia wykonano 5 zabiegów chirurgicznych* — pisał profesor. — *W związku z chorobą chłopiec jest upośledzony fizycznie. Cierpi na niedowład kończyny górnej i obu dolnych, głuchotę ucha lewego i upośledzenie słuchu ucha prawego oraz porażenie nerwu twarzowego. Zaświadczenie wydaje się ojcu dla przedłożenia władzom oświatowym w celu skierowania dziecka do nauki zawodu na miarę jego możliwości, w odpowiednim, specjalnym zakładzie wychowawczym”.*

Władze oświatowe próbowały niby coś robić. W pobliżu nie znaleziono odpowiedniej szkoły, skierowano więc chłopca do zakładu wychowawczego dla dzieci kalekich w Busku Zdroju. Tam nie został jednak przyjęty z powodu ciężkiego upośledzenia fizycznego. Został więc w domu, w pogłębiającej się samotności, w ciszy ogarniającej go coraz ciaśniej, bez kontaktu z ludźmi, lecz z nadzieją. Tę nadzieję na wyzdrowienie niszczyli rodzice swoją niewrażliwością na jego sprawy. Był o tym przekonany.

Lekarka nałożyła chłopcu na uszy audiometr. Asystentka kolejno włączyła sygnały dźwiękowe. Ani prawe ani lewe ucho nie zareagowało na żadne z nich. Władek żyje już w absolutnej ciszy. Nie wiedziała o tym nawet matka. Nie domyśliła się, że odczytuje jej słowa z ruchu warg. Władek nie ma jeszcze siedemnastu lat.

Lekarka poprosiła na konsultację panią neurolog i kierowniczkę przychodni. Zadzwoniły do Związku Głuchych. Owszem, można go umieścić w zakładzie dla głuchych chłopców. Pracowałby i uczyłby się zawodu. Ale tam są chłopcy fizycznie zdrowi, a pani neurolog stwierdziła także powiększenie się niedowładu rąk — już i lewa jest częściowo niesprawna. Chłopiec ma w dodatku trudności z trawieniem i wydalaniem. Wyznała mimo to szeptem zawstydzona matka tłumacząc, dlaczego nie zgodziła się na zabranie chłopca z domu.

— Zmarnowałby się tam beze mnie. Tu ma przynajmniej króliki. Jak się zdenerwuje w domu, do nich ucieka. Tam czekałby ludzkiego zmiłowania, a ludzie brzydziliby się go — powiedziała.

— Bez pomocy matki nie da sobie rady — orzekły lekarki, gdy zostałyśmy same. Matkę z synem odesłały do poczekalni, my miałyśmy „kończyć kontultację”. Naprawdę zaś chodziło u ukrycie okrutnej prawdy. Choroba, która zaatakowała chłopca, jest obecnie nieuleczalna. Nie są znane przyczyny jej powstania, ani sposoby leczenia. Guzy usuwa się operacyjnie, lecz to nie hamuje postępu choroby. Nowe wysiewają się periodycznie, po dłuższych lub krótszych okresach spokoju. Od tego, gdzie się usadowią, zależy, jaki narząd zostaje uszkodzony lub całkowicie wyłączony z reakcji nerwowych. Ośrodek krakowski obejmuje opieką swoich pacjentów, wzywa ich na kontrolne badania, lecz robi to tyleż dla dobra pacjentów, co dla samej nauki. Bada się w ten sposób przebieg choroby, skutki zabiegów, możliwość rehabilitacji. Wizyta w Krakowie na wezwanie profesora zakończyłaby się zapewne kolejną operacją, choć nie poprawiłaby zdrowia. Ale tego nie może wiedzieć ani on, ani chyba matka.

W tym beznadziejnym przypadku społeczeństwo nie szczędziło żadnych zabiegów, żadnych leków i żadnych kosztów. Od wykrycia choroby zrobiono wszystko, co można było zrobić, z medycznego punktu widzenia, choć nikt nie wątpił, że mimo to stan chorego będzie się ciągle pogarszał; lepiej sobie nie wyobrażać końca tego procesu. Stąd pytanie: dlaczego pewne systemy społeczne działają na ogół niezawodnie, a inne na ogół nawalają? Wszak te drugie miały przyznać tylko pieniądze — nie tak znowu wielkie — które ułatwiłyby życie dziesięciu osobom.

Postanowiłyśmy wspólnie z lekarkami, że dalsze pertraktacje przeprowadzę w Związku Głuchych, którego siedziba znajdowała się o pięć minut drogi. Trzeba było się spieszyć, zbliżała się trzecia. Samochód kolumny sanitarnej, który nas przywiózł, dawno odjechał. A tu zejście ze schodów jest problemem, przekroczenie wysokiego progu, przebycie jezdni. Mimowolnie przyśpieszałam kroku, naglona wizją opuszczanych biurek w urzędach, a po chwili orientowałam się, że idę sama; przystawałam i czekałam. On dreptał w odświętnym ubraniu, uczepiony matczynego łokcia. Przylizane włosy odstawały miejscami w sztywne piórka. Skórę na twarzy miał napiętą, czerwoną z cieniami bladości, jakie występują u ludzi bardzo zmęczonych, ale oczy zapamiętałe i usta zaciśnięte. Od wyjazdu z domu odezwał się tylko kilka razy, odpowiadając lekarce na pytania, tłumaczone przez matkę.

— Już niedaleko! — pocieszałam — bo co innego można było powiedzieć.

Związek Głuchych poszukał innego wyjścia — zobowiązał Regionalny Związek Spółdzielni Inwalidów w B. do poddania chłopca badaniom specjalistycznym i zaproponowania mu pracy chałupniczej, stosownej do jego możliwości. W najgorszym przypadku wypracuje sobie rentę, w lepszym — praca spełni rolę psychoterapii i gimnastyki leczniczej, tak potrzebnej porażonym kończynom. I przyniesie pieniądze!

Po całym dniu biegania i pośpiechu znalazłam wreszcie czas na rozmowę z obiektem tych wszystkich zabiegów. Nie rozumiał mnie, więc pisałam pytania na odwrocie jego listu, przysłanego do redakcji. Czytał, zastanawiał się chwilę i odpowiadał; pospiesznie i bełkotliwie, bo połowę twarzy miał przecież sparaliżowaną. Ale ta — martwa do tej pory twarz — ożywała, a spod maski ukazywał się człowiek wrażliwy i nie cierpiący, jakiego zobaczyłam w liście. Mógł tego listu nie napisać i komu zechciałoby się zrywać maskę, by sprawdzić, co się pod nią kryje?

— Dlaczego uciekłeś, gdy przyjechałam? — zapytałam. Przeczytał, przycisnął twarz do ramienia, a potem wstydliwie, z ociąganiem, uśmiechnął się!

— Bo to tak głupio. Ja się nie wstydzę, ale głupio, jak nie nie słyszę.

— Czego najbardziej pragniesz?

— Słyszeć! Profesor pisał, a oni nie zawieźli... — zwrócił twarz w stronę matki.

— Ojciec był wtedy w szpitalu. Chciałam jechać, ale z kim dzieci zostawić? I pieniędzy nie było. Myślałam, że pojadę, jak sprzedam świnię, Władziu. Paczki ci przecież wysyłałam do Rabki, bieliznę. Ojciec pojechał do Krakowa... — usprawiedliwiała się synowi, choć ten jej nie słyszał.

— Nie bałbyś się operacji?

— Przecież już pięć razy mi robili. Ja jestem... — znowu zażenowany uśmiech zerwał maskę Quasimoda — jestem odważny.

Wyszli kilkanaście minut przed odejściem pociągu. Wyjrzałam za nimi przez hotelowe okno. Syn zgarbiony po dwóch operacjach kręgosłupa, sporo niższy od matki, powłóczący nogami, trzymał ją za rękę. Powoli przechodzili przez skrzyżowanie, skręcili ku stacji.

Będą musieli iść tak razem do końca.

ALICJA BASTA
Fot. GABOR LÖRINCZY

spięcia

Trzy potężne słupy metalowe z linii wysokiego napięcia wymieniono na nowe i pozostawiono... w Narwi koło Wizny. Wiemy, że w świadomości wielu drobnych decydentów pozostaliśmy nadal krajem zamożnym (jakże by inaczej, skoro żadne inne państwo nie przeżyłoby tylu lat gospodarki rabunkowej; nasze przeżyło, więc czemu nagle trzeba oszczędzać?), z którego stanu posiadania jeszcze to i owo dałoby się uszczknąć. Ale czemuż swoją beztroskę demonstrują tak bezczelnie? Co kosztują pozory gospodarności? Jeśli już komuś nie chce się uratować tej góry drogocennego złomu, może by go — zgodnie z gdzie indziej wypróbowaną zasadą — przynajmniej skutecznie zatopić...

★

Pod koniec marca otwarte studzienki w osiedlu Jantar znów wchłonęły ofiarę, trzyipółletniego Marcinka B. Chłopczyk przebywa w szpitalu, natomiast dzieci tych, którzy studzienek nie zakryli, i tych, co odpowiadają za stan bezpieczeństwa w osiedlu, zapewne hasają beztrosko po skrupulatnie sprawdzonym terenie. „Wszystkie dzieci są nasze” — byle nie wymagały naszej troski.

★

Wśród 40 radnych szczuczyńskiej Gminnej Rady Narodowej jest pięciu reprezentantów ZSMP. Ale na miejscowych sesjach w ogóle nie są podejmowane sprawy młodych, bowiem trzech radnych spośród tych pięciu nie należy w ogóle do organizacji, a dwaj pozostali — nie są rolnikami. Ponadto cała piątka w sesjach nie uczestniczy.

★

Podczas wiosenno-odnowowych porządków dyrektor wysokomazowieckiego SKR-u znalazł w kieszeni kierownika ZUM-u w Miodusach Wielkich 30 tysięcy złotych, które kazał mu niezwłocznie wpłacić do kasy Spółdzielni. Na nic się zdało tłumaczenie kierownika, że dyrektor uległ złudzeniu, gdyż pieniądze zostały już jesienią ub.r. wypłacone traktorzystom za godziny nadliczbowe, przepracowane w szczytowym okresie prac polowych.

★

We wsi Michałowo Wielkie (gmina Czyżew) od 15 lat zdobią ulicę cztery latarnie. To cóż, że od początku swego istnienia nie zajaśniały światłem? Życie uczy, że odruchy warunkowe zawodzą. Oto idziesz ulicą, czytasz szyld, wchodzisz — i co? Puste półki, choć mógłbyś dać głowę, że odruch był przedtem wielokrotnie sprawdzony. Ostrzegamy zatem: efektem stania latarni nie musi być jej świecenie, rezultatem rozpoczęcia budowy GOK-u w Czyżewie — jego zakończenie, tak jak plonem zasianego wiatru nie musi być burza.

★

Naczelnik gminy Rutki, na pytanie radnych, co robi gminna służba rolna, powiedział, że się zastanowi.

★

Czytelnik z Zambrowa ustawia w polu iskrzenia „Spięć” — „Kontakty”, ponieważ zbyt długo ociągały się z napisaniem smutnej prawdy o wyborach miejscowej piekarni. Słusznie: klient płaci i wymaga, zarówno dobrego chleba, jak i błyskawicznie realizującego żądania — pisma.

★

W korytarzu kamienicy czynszowej przy ul. 22 Lipca 4 w Łomży zwykli kończyć swoje libacje i porachunki klienci „Satyra”, którzy także traktują to wnętrze jako szalet publiczny. Aby wypłoszyć „niebożęta”, gospodyni domu wyłączyła światło na klatce schodowej, co sprawiło, że po zapadnięciu zmroku jego mieszkańcy nie wychodzą za próg, a listonosz nie doręcza rent i emerytur, również gospodyni. Efekt wychowawczego (i oszczędnościowego) działania właścicielki jest taki, że ona kłóci się z pocztą, lokatorzy odmówili płacenia komornego, zaś „niebożęta” grasują w korytarzu odważniej, bo pod osłoną ciemności. Wesoła kamienica!

brat naszego Boga

KAROL WOJTYŁA

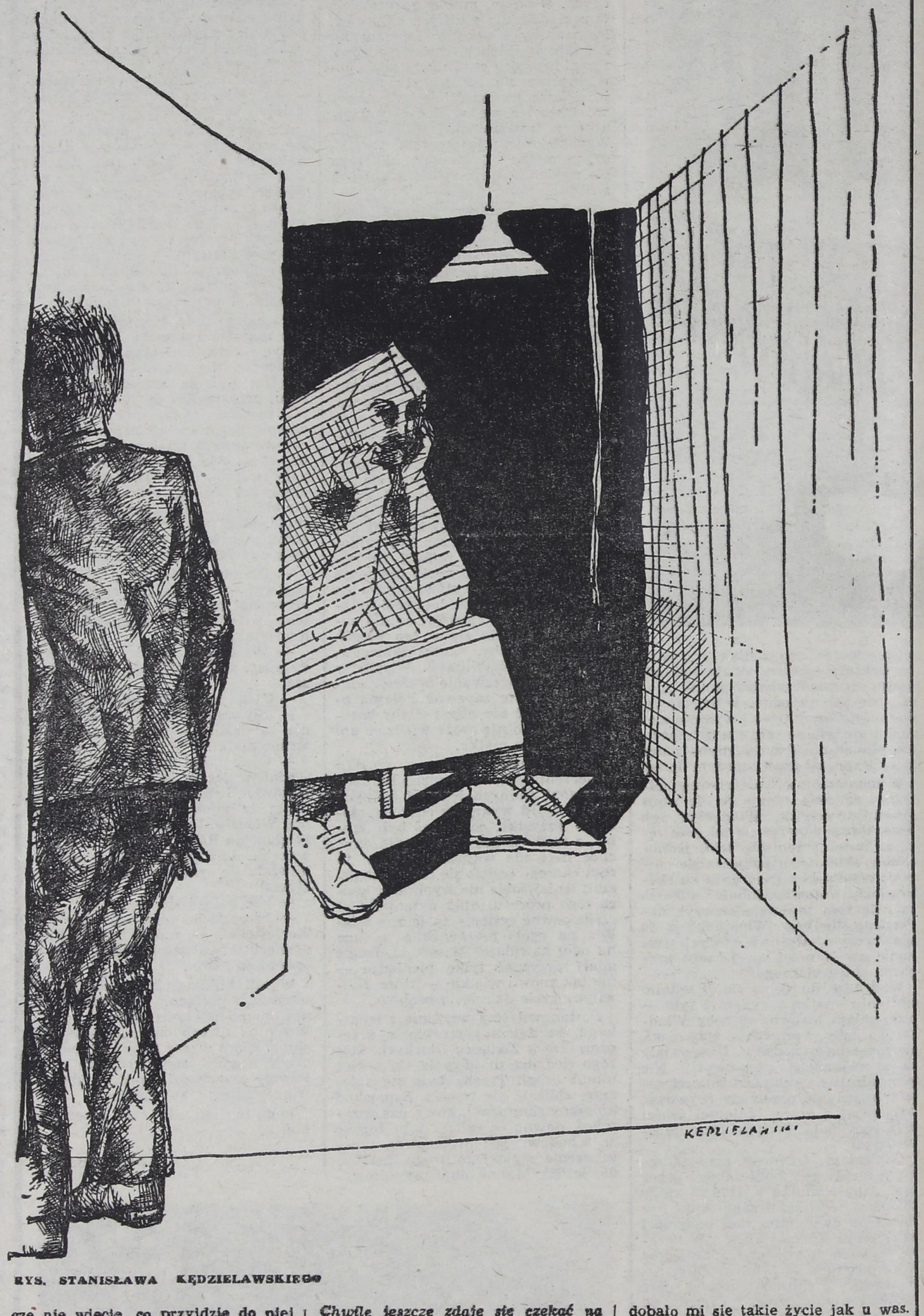

RYS. STANISŁAWA KĘDZIELAWSKIEGO

10

— Ale ludzi pcha się coraz więcej. Opuchlaki, znajdy, włóczęgi, nałogowce. Wszystko, co gdzie po ulicach nazbiera, wszystko, co skąd bądź nadejdzie — zaraz ma prawo.

I jakże, sam przecież z rynsztoków wydobywa zgnilców przebitych i przywłóczy na starym grzbiecie.

— No więc o co wam chodzi, Antoni? Po tośmy przecież ślubowali. A zresztą nie nasza głowa. On myśli.

ANTONI: Można by mu podsunąć to i owo. Przecież, gdyby tak zerwać z tym całym żebractwem, znajdą się środki dla większej liczby. Sprawa tylko zyska na tym.

SEBASTIAN: Starszemu ubóstwo droższe od wszystkiego.

ANTONI: No właśnie. A zdaje się, że niesłusznie. Czy chodzi o to, by pomagać ludziom, czy też o to, aby żebrać za wszelką cenę?

SEBASTIAN: Wyszło wam może już gardłem?

ANTONI: Nie to, ale po prostu nie pojmuję, po co —

SEBASTIAN: Ślubowałem, ślubowaliście i wy. Teraz dźwigajcie. Juści, nie nastaliśmy tutaj po wygody.

Zresztą — wszystko mamy mu do zawdzięczenia.

Zrobił z nas ludzi.

Inni bracia wciągają jakieś wory.

— A tego będzie prawie na dziś. Więcej brat starszy nie pozwala.

ANTONI: Albo i te sposoby...

SEBASTIAN: Mówię wam. Antoni, odpędzajcie te myśli.

Nadszedł teraz brat przepasany białym fartuchem. Kucharz.

— A to już wodę do kotła moglibyście zacząć nosić, braciszkowie.

— Do tego nowego kotła też?

— A też, też. Z pewnością dzisiaj będzie jeszcze większy tłok.

— No to idziemy, Janie.

Tamci bracia wychodzą drzwiami od tyłu.

SEBASTIAN: Jakże tam, bracie Szczepanie. My tu już z grubsza po robocie.

SZCZEPAN: A mnie nie wypada zabierać. A niegdyś, musicie wiedzieć, byłem straszny leń. Nasz brat starszy znalazł mnie razu pewnego na żebrach. Żebrałem oczywiście na wódkę. Powiedział do mnie tylko: chodźcie ze mną. Poszedłem. To była najdziwniejsza rzecz w moim życiu. Bo mówię wam — byłem straszny leń. I pijak, jak było za co.

Dzisiaj chętnie bym odmienił tamte czasy. Chętnie bym nawrócił. Cóż — lat nie wrócisz. Staram się nadrobić, ile mogę.

ANTONI: Jakże to nadrabiacie, bracie kucharzu.

SZCZEPAN: — E, cóż, — nie tak znów trudno. Panu Bogu można się spodobać byle czym. Tak uczy brat starszy. Więc ja na przykład warzeniem polewki...

Ale to wszystko mam od niego.

Tak, tak.

A najdziwniejsze to — że wtedy poszedłem za nim.

SEBASTIAN: O tak, niejeden ma mu sporo do zawdzięczenia.

ANTONI (*jak echo*): Niejeden — *Wychodzi.*

SZCZEPAN: Cóż on?

SEBASTIAN: E, nic. Tak trochę waży. Ciężko mu. Ale to przejdzie.

SZCZEPAN: Pewnikiem, nie przyszliśmy na wygody. A pokutować też za co jest. Dobrze, że się taki znalazł, co nam o tym powiedział.

SEBASTIAN: Cóż, kiedy nie każdy umie...

Przechodzi jakiś brat:

— Brat starszy wnet tu powinien nadejść?

SEBASTIAN: O tak. Jak tylko usłyszysz dudnienie kół po kamieniach, a potem głuchy łoskot drewnianej kuli na podłodze...

SZCZEPAN: Dobrzeście to podsłuchali, Sebastianie. Tak to w samej rzeczy jest, tak się powtarza dzień w dzień o tej samej godzinie.

Słychać dudnienie kół. Potem łoskot kuli.

BRACIA: A właśnie...

Brat starszy z wysiłkiem mija próg, dźwigając drewnianą nogę:

— Nie było tu nikogo do mnie, braciszkowie?

SZCZEPAN: Nie było nikogo, bracie starszy.

— Zabierzcie wszystko z wózka. Starczy dla wszystkich naszych gości.

No i co, powiedźcie, czy to nie pięknie... Tutaj wy, bracie Szczepanku, gotujecie już wodę, a jeszcze nie wiecie, co przyjdzie do niej wsypać. Aż tu zajeżdża mały wózek — a woda już się właśnie zagotowała. Wystarczy wsypać to, co przywieziono na wózku. Za godzinę wszyscy siadają do mis. Za dwie — misy pomyte. Czy nie tak?

Bracia potaknęli w milczeniu —

— Już nic to, że nie potrzebujemy spichrzów ni spiżarni, ale to, bracia moi, że codziennie karmi nas i okrywa ubogich nasz Ojciec...

SEBASTIAN: Tak to i jest, bracie starszy, tak to i jest.

BRAT STARSZY: A komu to masz do zawdzięczenia, żeś nie związany, żeś nie oblężony komorami, spichrzami, skrzyniami, sakwami, zmartwieniami, strachami, złodziejami?... .

Śmieje się serdecznie kończąc wyliczać ten długi szereg.

— No komu? komu?

SZCZEPAN: Pewnikiem wiem, bracie.

BRAT STARSZY: Ale gdzie tam. Mnie — też wymyślił.

SZCZEPAN: Przecież wam.

BRAT STARSZY: Nie i nie!

Chwilę jeszcze zdaje się czekać na trafną odpowiedź.

Po chwili: — Ślubom.

Bracia zgadzają się. Potakiwanie głowami.

SEBASTIAN: Było się przedtem żebrakiem ulicznym.

BRAT STARSZY: A teraz żebrakiem poślubnym. Wszystko się odmieniło przez to samo. Ślub wszystko odmienił. Pokochałeś się z biedą, ot i cała rzecz.

SZCZEPAN: A dawniej nienawidziliśmy się mocno.

BRAT STARSZY: A teraz ją pokochałeś i poślubiłem. Ot i cała rzecz. Widzisz, nie szkoda to było tylu swarów?

Wszyscy bracia śmieją się serdecznie.

SEBASTIAN: *z nagła przestał się śmiać. Mówi do siebie):*

— Chociaż niektórym to ciąży...

Po tym ogólnym rozweseleniu następuje jakby chwila przerwy. Nikt nic nowego nie dopowiedział. Milczą i dumają. Po chwili wchodzi brat-odźwierny; zwraca się do przełożonego:

— Bracie starszy, jakiś młody człowiek prosi was o rozmowę.

— Brat wprowadź go tutaj!

Odźwierny wychodzi. Po chwili wsuwa się ów młody człowiek:

— Chcę rozmawiać z wami, bracia.

BRAT STARSZY: Do usług.

MŁODY CZŁOWIEK: Powiem od razu wszystko, o co mi chodzi. Spodobało mi się takie życie jak u was. Proszę, abyście mnie zechcieli przyjąć do waszego bractwa, bracie starszy.

(Albert milczy.)

MŁODY CZŁOWIEK: Bracie, ja długo o tym myślałem. Będzie to jedyny środek dla uratowania mojej zachwianej wiary. Ten punkt, na którym wiara kołysze się jak łódka pod uderzeniami wiatru, tkwi gdzieś w rozumie. Może jest to po prostu pycha umysłu...

Pod łódką rozpościera się zatoka. I do niej sięga niepokój łódki. Ja wiem, że sama zatoka jest rozsadzana od dna.

BRAT STARSZY: Co znaczą te słowa?

MŁODY CZŁOWIEK: Jakże inaczej określić to przedziwne rozszerzenie się w człowieku czegoś... bardzo wewnętrznego... bardzo ludzkiego. Chociaż nie... W każdym razie — przebiega to burzliwie. O właśnie — jakby zatokę rozsadzał ktoś od dna.

(Przedruk z „Tygodnika Powszechnego")

(CDN)

sprzed polskiego sierpnia 1980 roku

wizerunek chłopca

zwierciadło duszy

13 stycznia 1976 r.

Zgrozą napawa fakt, jak niektórzy ludzie (a może wszyscy, niestety), co mnie otaczają, są mało wrażliwi — bez serca. Skądże więc mają reagować na cokolwiek. Płyną tym „statkiem szaleńców" technokraci, oportuniści, wszelkiej maści stada trywialnych kreatur. Czy któryś z nich z własnej nie przymuszonej woli sięgnie po jakiś wiersz-liryk i zastanowi się, wzruszy. Nie, bo po co? Skoro i bez tego da się żyć. I ogólnie jest to bez żadnego znaczenia. Właśnie. To wszystko wyjaśnia, czyli: można żyć jak zwierzę. Więc się żyje. I co dalej, do pioruna? Pytań, wiecznych pytań ogrom.

8 luty 1976 r.

Marzyć nadal będę, to nic nie kosztuje, no i nie szkodzi. Innych ambicji (myślę o „trzeźwych" „realnych" społecznie) — również brak. Więc jedynie in spe — i to tylko do samej śmierci. Właściwie ten stan to całodzienne konanie. Trochę porozrabiałem w tym karnawale. Potrzebnie czy nie: kwestia temperamentu; a niekiedy mi go nie brakuje. Poza tym konkluzja: zupełny brak wartości.

7 marca 1976 r.

Hombre wśród szczurów; one są winne. I tylko one. I nie zgadzam się na żadną tożsamość, nigdy — przenigdy; moim zadaniem niszczenie znaków równości. Niech się dzieje, co chce, nie rozumiem, nie chcę zrozumieć i wielka kropa. Trudno, widocznie rola skazańca moją pieczęcią: no cóż niech tak będzie. Tylko odwagi większej. Sprawdziłem ją i mam jej w pewnych momentach bardzo dużo, chociaż kosz jej zbyt wysoki jest, to jednak w tym przypadku nie mogę nic konkretnego powiedzieć! Cholerne baby.

21 marca 1976 r.

Stwierdzam: brak szacunku do siebie i nie kroczenie camusowskimi zasadami. Trzeba trzymać się tego elementarza. Inaczej: nici. Rzygać chce się, gdy myślę, że trzeba by było wrosnąć w ograniczony rytm społeczny. Czasami, gdy myślę, że już jestem wchłonięty, porwany w ten model — wątpię w sensowność czegokolwiek. Najbardziej perfidne z tego: wszyscy otaczający mnie i mogący mi pomóc: chcą urobić, ulepić, uformować człowieka na swoje ogłupiające podobieństwo. Kretyńskie: normy, etyka, moralność, cały ten amalgamat jadów — wszak to dulszczyzna tylko.

24 marca 1976 r.

Dzisiejsze plany wzięły w łeb. Czy przegrywam? W moim odczuciu przegrywanie równoznaczne jest z jałopieniem. I mam tu rację. Tak jest wszystko zwariowane, że nie dziwię się, że coraz bardziej przestrzeń wypełniają typy patologiczne. Plotę tu oczywistości, ale cóż: bomby wodorowej nie wymyślę, szybciej to zrobiono, zamiast najpierw sprawić, by ludzie nie mieszkali w chlewach.

„Człowiek to parweniusz wśród zwierząt" — bolące to ale prawdziwe. Pocieszam się że w tej paranoicznej rzeczywistości, w której ruchy nie są nieistotne, napotykam na bliskie mi dusze. Co tu dużo mówić: mogę liczyć wyłącznie na siebie; doprawdy tyle ludzi, a coraz bardziej staję się świadkiem dopływania do bezludnej wyspy. Nie oczekuję życzliwości i wręcz nie chcę.

Na każdym kroku narkotyzują człowieka: radio, TV, i inne dobra cywilizacji. To dyskusyjne, czy aż tak są potrzebne. Stwarza się szmelc i wynajduje najrozmaitsze sofizmaty na dowód, że to konieczność. Znaleźliśmy się w rwącym strumieniu i brniemy nie próbując chwytać się brzegu. Można utopić się w tych duperelach podniecając się słowami o ich ważności. Nie bacząc na tę całą żałosną ruchawkę — nie mogę dopuścić, bym w to grzęznął i dusił się drobnostkami, którym nadano wartość, pomijając człowieka.

25 marca 1976 r.

Wczoraj pisałem, jak jeden człowiek potrafi cudownie postawić się nad drugim. Jakby na ironię — dziś to potwierdziło się. A już najbardziej przykre, jeśli rodzina potrafi w perfidny sposób rozłożyć człowieka. Tak zszarga, złamie, że trudno się pozbierać. Czasami mam wrażenie, że najważniejsze w życiu ludzi jest zalanie drugiemu tak za skórę, żeby mu poszło w pięty. Ja tu buduję siebie, a inni, na przekór, jakby o tym wiedząc starają się zeszmacić moją godność, podeptać.

29 marca 1976 r.

Świetny teatr — A. Millera „Po upadku" w reż. Łapickiego. Nie mogę pominąć takiej rzeczy; teatry poniedziałkowe sycą strawą dość różnorodną, ale i dobrą. Nie ma więc powodu, aby je tracić. Strategia „drobnych kroków" z reguły (jeśli o takich można mówić) przynosi powodzenie. Rok minął właśnie, a czuję jakbym wczoraj — pisał o świdrującej zarazie ludzi. Wplątany jestem w niezgorsze kretynizmy; czasami mam nieprzebraną ochotę gwizdnąć na wszystko, i to śpiewnym, radosnym świstem.

Czy niezłomna wiara jest pomocnikiem? Uważam że nie tylko, a coś więcej. To substrat, tworzywo, będące osią w całej tkanej sieci samorealizacji.

Dyrdymały które zachwaściły się bujnie, w zasadzie nie miały w czym — bo ta rzeczywistość to same chwasty. Dlatego ten typ pisania nie może być wyparty przez realia i konkrety przywołujące nudności. Zdrowie przez te strony ani gorsze, ani lepsze.

1 kwietnia 1976 r.

Technizacja — baranizacja niszczy kwiaty tworząc kloaczny dół. Biadolę często o czasie — a przejawiam wyjątkowy talent do marnowania go. Maszyny nie są ludźmi. Jest zasadnicza różnica, a mnogość różnic przytłacza. Wokół: maszynki do robienia pieniędzy.

12 kwietnia 1976 r.

Historia lubi się powtarzać: im bliżej lata i zieleńsze dni — w głowie tak samo. Wynika to z konfrontacji zapisów. Cholerny biologizm. Na razie tylko ciągle wracam na ten sam grunt; wierzgam nogami i rozczapierzam niezłe już osiągi, by niebawem powrócić do tego samego.

6 lipca 1976 r.

Nie, nie jestem całkowicie przegrany; wręcz trochę odwrotnie. Bawię się własną tragedią; do kiedy wreszcie? Wydobyłem i przejrzałem siebie — zanotowanego, i jakże jest to mało: ja, wzorowy uczeń wielu roków szkolnych, nie zatraciłem się do cna, chociaż tak winno być. Jestem bogatszy (nie o forsę oczywiście chodzi — ona mi zawsze śmierdzi) i słabszy — to już uniwersalna reguła. Tak czy owak marsz był dobry, tylko lenistwo, zwane brakiem systematyczności, powala mnie, oj, mocno turla po bruku. Czego mi brak?

19 października 1976 r.

Zastanawiająca rzecz: przechodzi człowiek do codzienności, gdy to, co dzieje się w tym systemie, w tej strukturze, jest gigantyczną, hipokryzyjną komedią. A najbardziej wstrętny jest egoistyczny maksymalizm: ego tylko; autocenzura = kłamstwo. Poszanowanie człowieka, cóż to za termin? Gdzie? Kiedy? Nie znam tego. Prawo jednostki, jednostkowe cele? — tego też nie wiem! Dochodzimy do konkluzji, grubiańskiej zapewne, wszak adekwatnej: dzisiejszy komunizm to robienie z człowieka gówna, nic nie wartego, nie liczącego się śmiecia, bez żadnych praw. Wszechogarniające uniwersalne kłamstwo. Wszystko tu jest kłamliwe, i nie można nic mówić — co stanowi prawdę. To jest styl. Po trosze więc rozumiem kwiecistość języka sztuki. To jest otoczka, słowo płynące po powłoce, gdyż istota, konkret, jest właściwą prawdą, a więc tabu! I za Nałkowską w 32 lata później można powiedzieć: „Ludzie, ludziom zgotowali ten los". Inaczej chyba być nie może: to jako bydło i tylko bydło występujemy. Zresztą słowo nie ma znaczenia. Działanie wskazuje, że wyłącznie haniebne, płaskie określenie jest prawdziwe. Są momenty, w których mógłbym ulec skurczybykom i stać się identyczny.

Prawdy są okrutne tam, gdzie ich nie ma. Przyczyna zła jest czytelna i prosta. Ja z niczym nie walczę. Tylko chcę być sobą, tak mało żądam; chcę i na zewnątrz być tego, co oglądam i słyszę.

23 października 1976 r.

Aż do śmiechu prawdziwe: czym ludzie innteligentniejsi (chyba pozór!), tym zdolniejsi do większych świństw — najgorsze, że okrutnie prymitywnych. „Wśród bestii". Doprawdy trzeba być albo głupim, albo nieświadomym — chociaż jedno jest prawie synonimem drugiego. Już stokrotnie lepiej z prostymi ludźmi, tymi niekulturalnymi — bez taktu, ale szczerymi, otwartymi, niż z tymi z konwenansami, z kulturą, gdyż, jak dotychczas się przekonałem, są to same żmije i hieny.

Umywam z tego ręce i pasuję — nie chcę babrać się w gównie. Wolę nie brać udziału w tym rejsie statkiem półprzytomnych.

25 października 1976 r.

Samotność jest miażdżąca — przekonanie dosadne. Nie potrafiłbym jednak w sposób niepodważalny zdefiniować samotności. Można je określić mając wyraźne punkty odniesień. Samotny — to bez przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Jeśli jestem sytuacyjnie i praktycznie oddzielony — nie można przecież orzec, że całkowicie, i co bardziej przeważające: zdaje mi się, że wówczas jestem ze wszystkimi ludźmi, działam, partycypuję, więc nie jestem samotny. Bo jeśli nie występuje wolność, nie można mówić o samotności. Działanie jako reakcja na kompleksy, czyjeś pokładane nadzieje, replika na takie czy inne presje — wszystko to rozwija się z pojęciem samotności. Jak klarowna staje się w tych układach kruchość określeń! Wtłamsza się człowiek w różne niewole, a potem kalkuluje, jakby to miało być wyborem.

Kilka jednocześnie nasuwających się dygresji: rzeczy piękne to przede wszystkim proste. Samo nastawienie: niezamącenie i niebrudzenie winno dawać niezamglony obraz. Podbudową większości działalności wartościowej musi być wiara.

5 listopada 1976 r.

Zauważyłem, że zwierzęta mają te same pragnienia co człowiek. Zetknąłem się z tym pierwszy raz i byłem zaskoczony, że te pragnienia występują z taką determinacją i siłą. Konkretnie: mam od niedawna do czynienia z kotem. Tak biedaczysko domaga się bezpieczeństwa, dobroci i wręcz miłości z mojej strony, że nie sposób mu odmówić. Nie bez celu to piszę. Mianowicie chodzi mi tu o znamienną rzecz. Zwierzęciu częstokroć człowiek okazuje więcej dobroci niż drugiemu człowiekowi. Jaka jest epoka, w której zwierzę jest wartościowsze niż człowiek? Taka, w której wszystko upadło. Tak, upadło wraz z wzrostem dóbr i podłą pogonią za więcej i więcej. Zatracił się człowiek, zgubił gdzieś w tej gonitwie, na którymś wirażu, to co najpiękniejsze — serce, duszę, swoje wnętrze. Do bliźniego wówczas przykładamy swoje płaskie wymiary — i to jest zasadne, że zwierzę więcej zyskuje w naszych oczach.

7 listopada 1976 r.

Moje narodziny datują się z chwilą rozpoczęcia tego dziennika. Naturalnie, nie chodzi o stronę biologiczną. Nie ma czego żałować. Cóż, w końcu — jak każde dziecko — byłem głupiutki, dając się ogłupić różnym półpełnym nauczycielom, niedouczonym mentorom. Powrócę do nie dokończonej kwestii błędów. Przebywanie z ludźmi i ich towarzystwo zubaża mnie. Przede wszystkim — nie wzbogaca, a potwornie nudzi. Ludzie w swoim bogactwie nie wydają się mi ciekawi, lecz pozostają koniecznością. Poza tym — atawistyczne ciągoty do stada, którego cechą jest gwałcenie indywidualności jednostki. Umiejętność zdrowej samotności wymaga niezłomności i prawie człowieka z żelaza, a taki, jak wiadomo, nikt zdrowy nie jest.

Fragmenty pamiętnika
(Dane o autorze — do wiadomości redakcji)
Fot. GABOR LÖRINCZY

ROZTERKI

miasta nie są wieczne

Zdanie umieszczone w tytule wyjąłem z raportu opracowanego przez specjalną komisję, powołaną przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, a opublikowanego 16 stycznia bieżącego roku. Z góry odrzucony przez przedstawicieli Partii Demokratycznej (i bardzo nie w porę dla administracji Reagana) raport stwierdza dobitnie nieopłacalność dalszego istnienia miast na północy Stanów Zjednoczonych. Ich utrzymywanie pochłania niepotrzebnie zbyt wiele energii, zwłaszcza teraz, kiedy przemysł rozwija się szybciej na południu i na zachodzie. Miasta północne mają rację bytu o tyle, o ile będą pełniły działalność usługową na rzecz regionów rolniczych, w których są położone. Jednak dla tych funkcji zgoła zbyteczne jest dalsze istnienie tak gigantycznych aglomeracji, jak Nowy York. Autorzy raportu oczekują od Rządu Federalnego, że przygotuje program migracji ludności i przyzna fundusze na przysposobienie robotników do nowych warunków pracy oraz na przesiedlenie rodzin najuboższych.

Wystający w kolejkach, dręczeni niepokojem, czy cokolwiek kupimy i czy dla nas jeszcze starczy, zapomnieliśmy całkiem o okolicznościach zewnętrznych wobec polskiego kryzysu. I to zarówno tych, które ważą już dzisiaj i, wciąż jeszcze nie w pełni skonkretyzowana, nadzieje mogą przemienić w narodową klęskę, jak i tych, które świadomość obecnego stanu gospodarki polskiej nie pozwala uważać za realne dla naszego jutra. Z perspektywy kolejki po proszek do prania czy musztardę problem miast Północy USA wydaje się egzotyczny i zgoła nie mieszczący się w żadnej dającej się przewidzieć, naszej własnej, przyszłości. Zresztą jakiekolwiek z tego powodu wątpliwości łatwo oddalamy dobrze ugruntowanym w naszej świadomości banałem: — Tyle razy zapowiadano już kryzys gospodarki kapitalistycznej i co? Zawsze kapitalizm, jak dotąd, dawał sobie radę.

Jest paradoksem, że krytyka tzw. propagandy sukcesu doprowadziła do wyeliminowania ze świadomości przeciętnego Polaka związków obecnej sytuacji ekonomicznej w Polsce z kryzysem układu gospodarki światowej. Toteż w analizach aktualnego kryzysu polskiego szuka się głównie jego przyczyn systemowych, co — nie pomniejszając bynajmniej roli tych ostatnich — nie jest zupełnie słuszne. Stan gospodarki polskiej jest także odbiciem trudności, które w tym samym czasie zaczęły dawać znać o sobie w gospodarce krajów Zachodu. Jest to faktem bez względu na to, że niewiele się ostatnio o tym pisze.

Mając na uwadze taki stan umysłów — wcale bym się nie zdziwił, gdyby wspomniany raport, dotyczący przyszłości miast Północy USA, został przez środki przekazu w Polsce zupełnie zignorowany. Na tej samej zresztą zasadzie mało zainteresowania okazano u nas kryzysowi instytucji państwa opiekuńczego czy problemom nastręczanym przez pogłębianie się klęski głodu w Afryce — w tych zwłaszcza rejonach, w których znajduje się ogromna większość złóż metali nieodzownych dla rozwoju nowoczesnego przemysłu. Decydujące w wszystkich tych przypadkach było, jak sądzę, tyleż zaprzątnięcie uwagi aktualnościami krajowymi, co i zjawisko, które nazwałbym syndromem wstydu dziennikarza. Ten długo był narzędziem niemądrej propagandy i teraz, w pełni świadomy swoich błędów, chciałby za wszelką cenę uniknąć podejrzeń, że nadal je w jakiejkolwiek formie kontynuuje.

Raport, którego autorzy ośmielili się napisać zdanie: „Miasta nie są wieczne", z dwu przynajmniej powodów zasługuje na bliższe poznanie. Po pierwsze dlatego, że gwałci praktykę uświęconą przez co najmniej parę stuleci tradycji. Dotąd warunkiem rozwoju miast było istnienie już w nich przemysłu. Powiększały się przez paczkowanie, przy czym zachowywały względną jednorodność swojej struktury przemysłowej. Fabryki włókiennicze, na przykład, budowano z reguły tam, gdzie istniał już przemysł włókienniczy. Było to zasadą powszechnie przestrzeganą tak w przypadku rozwoju miast, jak i rozwoju przemysłu. Po drugie — postulując, aby lokować przemysł poza wielkomiejskimi skupiskami ludności (co jest możliwe za sprawą postępów miniaturyzacji) i zwłaszcza na południu USA, autorzy omawianego raportu dali nam przedsmak tego, czym może być zarządzanie społeczeństwem około 2000 roku. Proponowane przez nich rozwiązania pozwoliłyby na znaczne oszczędności energii — zarówno dzięki skróceniu dojazdów do pracy, jak i wskutek zmniejszonych nakładów na ogrzewanie miast w zimie. Tyle że warunkiem urzeczywistnienia tych planów musiałoby być zwiększenie ingerencji państwa w życie przeciętnego obywatela.

Opublikowanie raportu o przyszłości miast ożywiło w USA polemiki wokół innego raportu, ogłoszonego latem ubiegłego roku. „The Global 2000 Report to the President" — 800 stronicowy dokument, zawierający informacje dostarczone przez 13 agencji rządowych, CIA nie wyłączając, nie przewiduje pomyślnej przyszłości, tym razem na skalę globu. Świat około 2000 roku będzie bardziej przeludniony, bardziej zanieczyszczony, mniej stabilny ekologicznie i bardziej narażony na wstrząsy społeczne niż świat, w którym żyjemy. Nie da się w tej chwili ocenić, w jakim stopniu autorzy tych raportów mają rację i czy przyszłość będzie dokładnie taka, jak przewidują. Z perspektywy polskiej ważne jest natomiast co innego. Wszystkie te dokumenty przewidują rozwój pewnych trendów, które już zaistniały w gospodarce krajów najbardziej pod względem przemysłowym rozwiniętych. A zatem dają nam wgląd i w naszą przyszłość, w problemy, które — mimo różnic ustrojowych — wcześniej czy później staną i przed nami, jeżeli będziemy powtarzać błędy, jakie już inni przed nami popełnili. Dlatego właśnie trzeba jak najwięcej wiedzieć o obecnym kryzysie gospodarki kapitalistycznej. Zbyt długo bowiem była ona synonimem w ogóle gospodarki rozwiniętej, by to, co ją spotyka, nie miało i nas bezpośrednio dotyczyć.

STANISŁAW ZAPAŚNIK

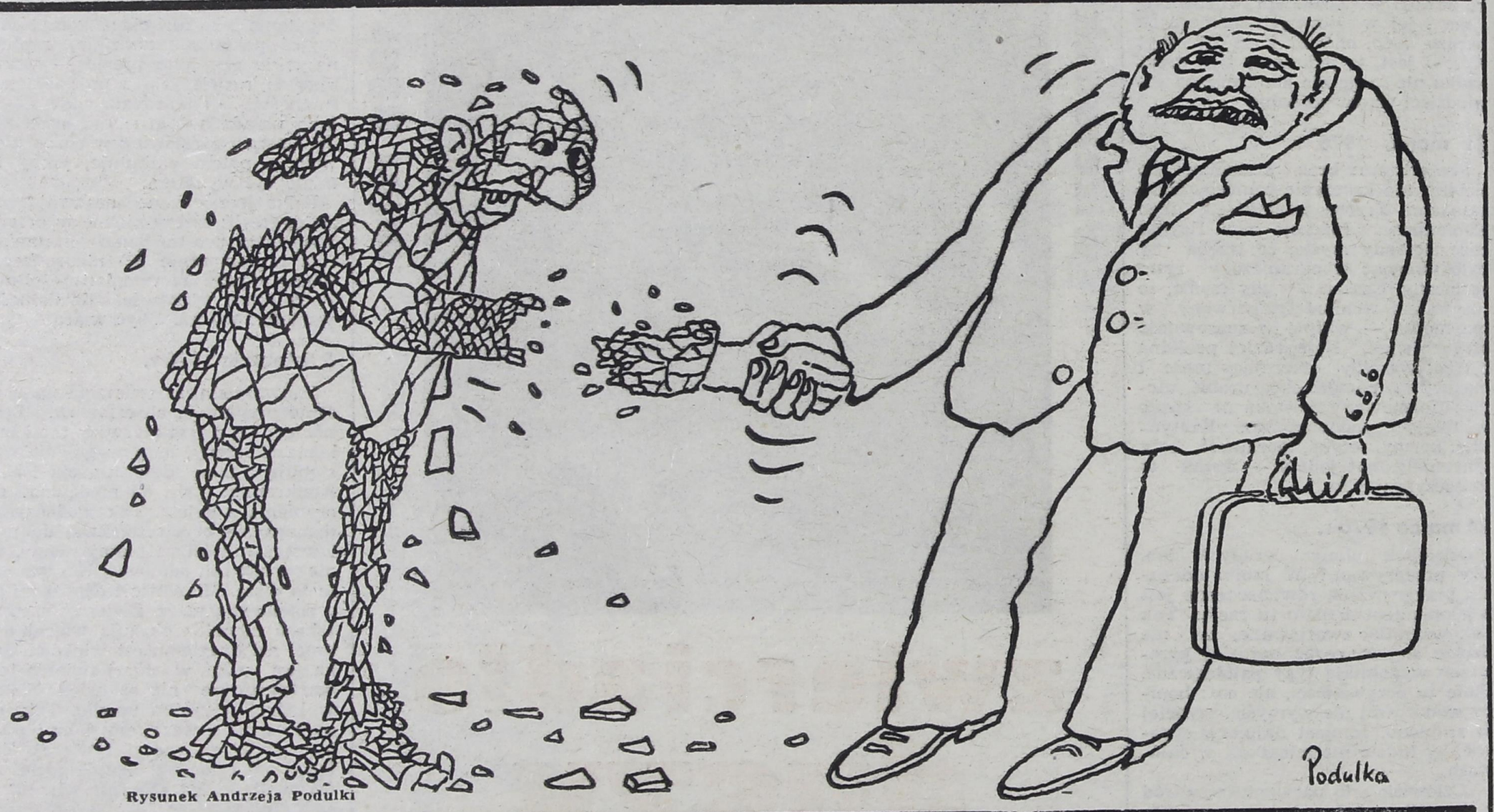

Rysunek Andrzeja Podulki

TECHNIKALIA

smutne czasy kabaretów

Cud się zdarzył i oto w sprzedaży — za sprawą wytwórni fonograficznej „Polskie Nagrania" — ukazała się kaseta magnetofonowa z zarejestrowanym benefisem Zenona Laskowika, przedstawionym na ubiegłorocznym festiwalu piosenki w Opolu. Cud dlatego, że Laskowik i kabaret „Tey" znani byli dotychczas bardziej dzięki „pirackim" kasetom, przegrywanym w domach, niż salom koncertowym i fonicznym środkom przekazu. Wprawdzie filar zespołu pokazywał się w tzw. minionym okresie w telewizji, ale jego występy miały w sobie więcej z estradowej żonglerki niż z kabaretu społeczno-politycznego. Tę drugą, w zasadzie prawdziwą, twarz Laskowika i spółki można było obejrzeć jedynie w poznańskiej siedzibie kabaretu przy ul. Woźnej. Tylko że tam mieści się najwyżej sto osób, zaś bilety trzeba kupować pół roku wcześniej. W ten to sposób poznański kabaret był autentycznie poznański, bowiem tylko poznaniacy mogli mieć z nim kontakt. Sporadyczne występy w Warszawie (chyba raz na trzy lata) miały zasznurować gęby niezadowolonym, którzy twierdzili, iż cenzura do innych miast Laskowika nie wpuszcza.

Benefis najdowcipniejszego człowieka w PRL-u, zatytułowany „Z tyłu sklepu", stał się najbardziej popularnym programem rozrywkowym, prezentowanym przez naszą telewizję w ubiegłym roku. Ale jego emisję zawdzięczać należy wydarzeniom sierpniowym. Zapowiedziany w drukowanych na łamach programach telewizyjnych nazajutrz po premierze — a było to w czerwcu — został w ostatniej chwili odwołany na rzecz składanki arii operowych. I symptomatyczne, że kierownictwo telewizji, za pośrednictwem spikerki, nie stać było na przekazanie telewidzom zwykłego „przepraszam", bo przecież o podaniu przyczyny odwołania programu „Teya" mowy być nie mogło. Notabene: ta praktyka stosowana jest nadal i wywołuje niepotrzebne emocje. W ostatniej chwili odwołuje się emisję „Człowieka z marmuru" Wajdy (7 marca), a widzów informuje się tylko, że projekcja odbędzie się w innym terminie. Chyba taśma się zdziebko splątała.

I otóż ukazanie się kasety (200 złotych!) ma obecnie swoje dobre, ale i też złe strony. Dobrze, iż nareszcie oficjalnie utrwalono to, co się ludziom tak podobało; źle, bo ów fakt pozbawił nas dreszczyka emocji, towarzyszącego przesłuchiwaniu nagranych na amatorskich magnetofonach kasetowych programów z ul. Woźnej. Poza tym „Z tyłu sklepu" pokazywane było w TVP dwa lub trzy razy i wszyscy to już znamy na pamięć. Ale jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Otóż — wbrew pozorom — nadeszły ciężkie czasy dla kabaretów, i to tych najlepszych nawet. Najbardziej smakuje owoc zakazany, więc kabaret śmieszy tym bardziej, im bardziej różni się od pierwszych stron oficjalnych gazet i „Dziennika Telewizyjnego" w czasach tzw. ustabilizowanych. Jeszcze rok temu popularność mógł zapewnić byle jaki program, w którym mówiło się tylko o willach dygnitarzy, panienkach na weekendach, pustych półkach, wędlinach, jakości naszych samochodów, i to mówiło się byle jak. Dzisiaj sam temat nie śmieszy. Śmieszy jego przyrządzenie, charakter point, sposób podania i bardzo głęboka refleksja. Ostatnimi programami Pietrzaka byłem nieco znużony. „60 minut na godzinę" obraca się — jako program nadawany na cały kraj — w kręgu tych samych „tematów"; triumfuje kabaret Olgi Lipińskiej (TVP) i — Laskowik. Jego największą zaletą, widoczną na wspomnianej kasecie, jest perfekcja, która bawi dzisiaj tak samo, jak w czerwcu ubiegłego roku w Opolu.

JAN JANUSZEK

P.S. Gdyby ktoś miał wątpliwości co do sensowności mariażu treści tego felietonu z nazwą rubryki, wyjaśniam, iż w programie kabaretu „Tey" jest zawsze bardzo dużo piosenek; na wspomnianej kasecie również. Ale o nich innym razem.

NA PIĘCIOLINII

DZIEŃ PRACOWNIKA SŁUŻBY ZDROWIA

Skuteczność leków-uśmiech chorych

Niezwykły to był dzień dla 34 dziewcząt z Pomaturalnego Studium Medycznego w Kolnie. Na zakończenie pierwszego semestru nauki — zgodnie z tradycją — pasowano je na prawdziwe pielęgniarki Doświadczone ręce wychowawczyń każdej z osobna nałożyły na głowę biały czepek — symbol wstępnego wtajemniczenia w dziedzinie spod znaku Eskulapa.

Już 193 absolwentki opuściły mury Studium w ciągu ośmiu lat jego istnienia. Zasiliły one — wciąż jeszcze za szczupłe — szeregi średniego personelu medycznego w różnych placówkach służby zdrowia województwa łomżyńskiego. Większość z nich, absolwentek i uczennic, wywodzi się ze środowisk wiejskich. Zapytane o kryteria wyboru zawodu — najczęściej wymieniały powołanie. Ich entuzjazm do pełnienia tego, społecznie ważnego, zawodu osłabia jedynie fakt marnego wyposażenia w pomoce metodyczne Studium i brak solidnego warsztatu do odbywania praktyk, bowiem Kolno nie dysponuje przychodnią lekarską z prawdziwego zdarzenia. Czyżby chodziło o inicjację bez złudzeń w rzeczywiste warunki pracy łomżyńskiej służby zdrowia?

tekst i fotografie

Gabor Lörinczy

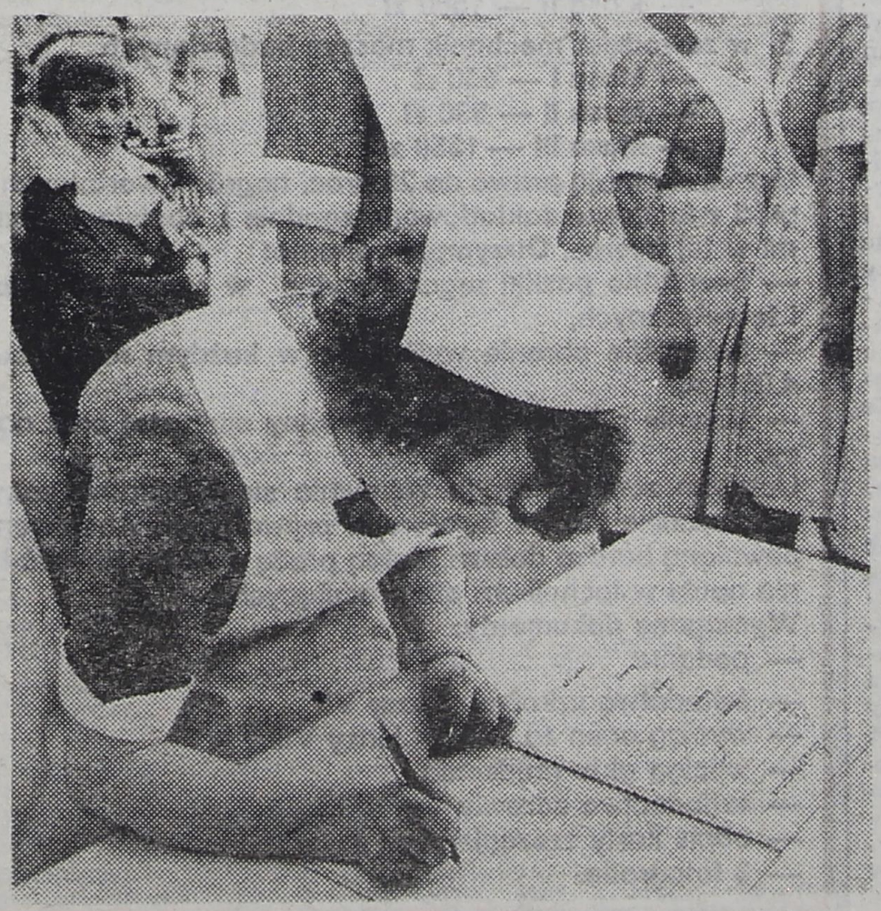

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 20 listopada — na cały rok następny; do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty: kwartalna 52 zł, półroczna 104 zł, roczna 208 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, organizacje społeczne zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa—Książka—Ruch", w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów, w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11; prenumeratę ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceń indywidualnych i o 100% dla zleceń zakładów pracy

KONTAKTY

sport

o „kopaną" trzeba dbać

Za dwa tygodnie odbędzie się Nadzwyczajne Zgromadzenie Polskiego Związku Piłki Nożnej. Większość komisji przygotowujących materiały na to forum zakończyła prace. Sympatycy piłki nożnej z niecierpliwością oczekują na nowy statut PZPN, który opracowuje Komisja Statutowo-Organizacyjna.

Okręgowy Związek Piłki Nożnej w Łomży swoje zgromadzenie odbył niedawno. Ale z jego wynikami — z przyczyn technicznych — moglibyśmy zapoznać czytelników dopiero po zjeździe PZPN-u, więc byłaby to muszdarda po obiedzie. Ograniczę się zatem do zaprezentowania problemów, z jakimi OZPN borykał się dotychczas.

Wbrew temu, co podała „Piłka Nożna", OZPN w Łomży — jeśli chodzi o szkolenie młodzieży — do średniaków, a tym bardziej do potentatów w Polsce nie należy. Działacze OZPN-u w Łomży informację „Piłki Nożnej" skwitowali jako pobożne życzenie, pozostające w sferze marzeń. Za podanie do publicznej wiadomości niezgodnych z prawdą informacji tego doskonałego tygodnika winić jednak nie można, bo danych z palca redakcja przecież nie wyssała.

Czym się tu chwalić? W trzynastu klubach łomżyńskiego OZPN-u jest zarejestrowanych 1130 zawodników. Ilu jednak kopie piłkę naprawdę, trudno powiedzieć. Aby wyliczanka była pełna, trzeba dodać, że w rozgrywkach bierze udział 7 drużyn trampkarzy, 19 drużyn juniorów i 13 (liczba feralna i dlatego chyba żadna nie występuje w III lidze) drużyn seniorów. Pieczę nad tymi drużynami sprawuje prawdopodobnie 23 szkoleniowców. Piszę „prawdopodobnie", bo ewidencji żadnej w OZPN-ie nie ma. Jedno jest pewne, że połowa z nich nie posiada uprawnień i szkoli społecznie, więc i efekty pracy są mizerne. Potwierdzenie tego znajduję w sporządzonym ostatnio opracowaniu „Ocena sytuacji i program rozwoju piłki nożnej w województwie łomżyńskim". Czytam tam m. in.: *„Z przykrością należy stwierdzić postępujący regres piłki nożnej w naszym województwie. W piątym roku istnienia OZPN Łomża poziom reprezentowany przez nasze zespoły jest zdecydowanie gorszy niż na początku jego istnienia"*.

Czyli tak: było źle, jest coraz gorzej. Dlaczego? Ano dlatego, że liczebność kadry szkoleniowców w województwie systematycznie się zmniejsza. Jak już wspomniałem, z przyczyn obiektywnych (czytaj: braku kwalifikowanych trenerów) szkoleniem piłkarzy zajmują się ludzie oddani piłce nożnej, ale często nie posiadający ku temu odpowiednich kwalifikacji. Ten stan rzeczy można by zmienić organizując kursy instruktorskie oraz seminaria dokształcające dla pracujących trenerów, tylko że nie ma za co. Dla zapewnienia jako takiej działalności OZPN-owi potrzeba, skromnie licząc, ponad trzystu tysięcy złotych rocznie. Ale władze wojewódzkie stoją na stanowisku, żeby piłki nożnej nie dotować — bo taka moda i tendencja istnieje w całym kraju. Zgoda, ale to odnosi się do wyczynowców, którzy powinni i mogą na siebie zarobić, czyli piłkarzy pierwszej i drugiej ligi. W województwie łomżyńskim — jak zapewniają same władze — mamy sport młodzieżowy, co dotyczy również piłki nożnej, a sport młodzieżowy w całym kraju jest dotowany! I jeszcze jedna drobnostka: na cały sport w Polsce (w naszym województwie również) patrzy się przez pryzmat piłki nożnej, ponieważ ta właśnie dyscyplina jest w naszym kraju najpopularniejsza. A zatem ci, co rozdzielają dotacje na inne dyscypliny sportowe, są przede wszystkim kibicami piłki nożnej. Efekt jest taki, że piłka nożna w naszym województwie stoi coraz gorzej. Przykłady: „Olimpia" Zambrów i „Orzeł" Kolno, przed rozpoczęciem rozgrywek rundy wiosennej, wycofały drużyny juniorów, a drużyna seniorów w Grajewie jest w rozsypce, choć — dokąd sięgam pamięcią — w tych miastach piłka nożna była zawsze hołubiona.

Od mówienia o bazie sportowej województwa boli już język: na dziewięć zweryfikowanych do rozgrywek boisk piłkarskich — siedem przypomina klepiska. W wojewódzkiej Łomży jest tylko jedna płyta, którą można ewentualnie nazwać boiskiem.

Sprawiedliwie trzeba jednak powiedzieć, że trudności łomżyńskiej piłki nożnej nie wynikają jedynie z niedostatków organizacyjnych czy też określonego spojrzenia na nią władz. Przewodniczący Wydziału Gier i Klasyfikacji OZPN-u w Łomży, Rafał Wszędyrówny, powiedział: — Obserwujemy coraz więcej wykroczeń wśród zawodników. Do najczęstszych należą: niewłaściwe zachowanie wobec sędziów, wobec zawodników z drużyn przeciwnych, a także wobec kolegów z drużyny. Co gorsze, to samo dotyczy niektórych trenerów i kierowników drużyn. Młodzież mamy bystrą, ona to wszystko widzi, i skutek taki, że obecnie jesteśmy zmuszeni karać nawet juniorów, co kiedyś było nie do pomyślenia! W pogoni za punktami całkowicie zaniedbano sprawy wychowawcze. Coraz częstsze stają się przypadki wystawiania do zawodów zawodników nie uprawnionych. Zarówno trenerzy, jak i działacze, idą na łatwiznę. W klubach zaniechano prawie zupełnie współpracy ze szkołami, nie organizuje się turniejów „dzikich" drużyn, a była to naturalna forma pozyskiwania adeptów piłki nożnej.

Coś jednak w łomżyńskim sporcie drgnęło. Przy OZPN-ie w Łomży reaktywowano wydział szkolenia, powołano również — w dniu 18 marca bieżącego roku — Radę Trenerów, której przewodniczącym został Andrzej Targ. Na swoim pierwszym posiedzeniu przyjęła ona do realizacji 17-punktowy program działania. Jak wynika z programu, szczególną uwagę zwracać się będzie na współpracę ze Szkolnym Związkiem Sportowym, Inspektoratami Oświaty i szkołami. Reaktywowany zostanie system rozgrywek dla młodzieży szkół średnich i podstawowych. Organizowane będą szkolenia dla trenerów i kursy dla kandydatów na instruktorów, a także kursy dla sędziów. Postulatów jest więcej i nie sposób wszystkich wyliczać, ale jeszcze jeden zasługuje na szczególną uwagę i wymaga natychmiastowej realizacji. Chodzi o powołanie instytucji trenera-koordynatora przy OZPN-ie i zatrudnienie kogoś na tym stanowisku. Zająłby się on koordynacją poczynań sekcji piłkarskich w klubach oraz przygotowaniem reprezentacji województwa na spartakiady. Na posiedzeniu Rady Trenerów postulowany był również powrót do powoływania reprezentacji województwa we wszystkich grupach wiekowych.

Oto kilka wypowiedzi szkoleniowców z pierwszego posiedzenia Rady Trenerów.

KAZIMIERZ DĄBROWSKI („Olimpia" Zambrów): — Jeśli będą organizować szkolenia dla trenerów, to niech zapraszają ludzi, którzy mogą nam coś nowego przekazać. Ostatnio byliśmy na takiej naradzie trenerów w Ostrołęce; wykłady prowadził pan Głowacki z PZPN-u, a potem był pokaz fachowych filmów. Należy powrócić do weryfikacji uprawnień instruktorskich i trenerskich, aby instruktor i trener byli zobowiązani do podnoszenia swoich kwalifikacji. Słów kilka o sędziach. Poziom sędziowania ogólnie się podniósł, ale morale niektórych sędziów pozostawia wiele do życzenia: po prostu są przypadki sędziowania meczów przez arbitrów nietrzeźwych. Sędziów jest mało, to prawda, jednak jakieś kryteria ich doboru powinny obowiązywać.

MIECZYSŁAW DANIELEWSKI (ŁKS Łomża): — Przy planowaniu rozgrywek w rundzie jesiennej należy wziąć pod uwagę fakt, że będziemy mieli wolne soboty. Trzeba nałożyć na kluby obowiązek prawidłowego szkolenia najmłodszych. Chodzi o to, aby zawodnicy grali w swoich grupach wiekowych. Decyzje OZPN-u muszą wychodzić we właściwym czasie, żeby kluby nie były nimi zaskakiwane, lecz mogły przygotować się do rozgrywek. Przygotowanie reprezentacji spartakiadowej województwa nie może być sprawą klubu, lecz OZPN-u. Piłka nożna jest dyscypliną olimpijską, dlaczego więc nie traktuje się jej na równi z innymi dyscyplinami sportowymi? Przecież nie wypracowano jeszcze w kraju modelu finansowania sportu, a u nas już się mówi, że piłki nożnej finansować się nie będzie.

IRENEUSZ PAWŁOWSKI („Sparta" Szepietowo): — OZPN powinien generalnie rozwiązać sprawę zaopatrzenia klubów w sprzęt, bo kupienie czekogokolwiek w sklepach sportowych jest sztuką. Rzeczywiście atmosfera wokół piłki jest nieprzyjemna. Opinię o piłkarzach urabia prasa, która utrzymuje, że opływają oni w dostatki, zarabiają krocie, chociaż wcale tak nie jest. Nie mam nic przeciwko sędziom warszawskim, ale ich diety wynoszą nawet po 2500 złotych za mecz! Wojewódzka Federacja Sportu w finansowaniu dyskryminuje mniejsze kluby; mówi: róbcie tenis stołowy, będziecie mieli pieniądze. A przecież w tak małym klubie, jak „Sparta", może być tylko piłka nożna.

RYSZARD KIEŁCZEWSKI („Orzeł" Kolno): — Władze muszą sobie uzmysłowić, że o piłkę nożną trzeba dbać. Dlaczego? Jak była u nas piłka nożna, to i pozostałe sekcje korzystały z dotacji. Teraz, gdy zwracamy się o pomoc finansową do zakładów pracy, mówią nam: na kolarstwo i tenis stołowy niech wam da ten, kto każe te dyscypliny prowadzić.

ANDRZEJ TARG (ŁKS Łomża): — Rada Trenerów wystąpi do Zarządu OZPN-u o to, aby klubom zapewniły na zawodach opiekę lekarską i napoje. Będziemy się również dobijać o warunki sanitarne i socjalne dla zawodników. Trudno jest mi zrozumieć fakt, że ludzie odpowiedzialni za sport w województwie, po otrzymaniu złotych odznak PZPN-u, przestali nam pomagać.

WYMIATACZ
Fot. GABOR LÖRINCZY

ZASADNICZA SZKOŁA ZAWODOWA
PRZYZAKŁADOWA
ŁOMŻYŃSKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA BUDOWLANEGO
w Łomży

PRZYJMUJE ZAPISY KANDYDATÓW

do klas pierwszych na rok szkolny 1981/82 w następujących zawodach:

a) o 2-letnim okresie nauczania:
- **murarz**
- **malarz budowlany**
- **monter wewnętrznych instalacji budowlanych**

b) o 3-letnim okresie nauczania:
- **mechanik maszyn budowlanych**

Wiek kandydatów: 15—17 lat.

W okresie nauki uczniowie za pracę w ramach praktycznej nauki zawodu otrzymują wynagrodzenie:

1. w zawodach: murarz, malarz budowlany
- a) uczniowie 15-letni
  - — klasa I — 650 zł
  - — klasa II — 1550 zł
- b) uczniowie 16-letni i starsi
  - — klasa I — 870 zł
  - — klasa II — 1550 zł

2. w zawodze: monter wewnętrznych instalacji budowlanych
- a) uczniowie 15-letni
  - — klasa I — 650 zł
  - — klasa II — 1550 zł
- b) uczniowie 16-letni i starsi
  - — klasa I — 710 zł
  - — klasa II — 1550 zł

3. w zawodzie: mechanik maszyn budowlanych
- **— klasa I — 650 zł**
- **— klasa II — 830 zł**
- **— klasa III — 1550 zł**

Uczniowie mają prawo do 20 proc. nagród kwartalnych oraz do nagród z funduszu zakładowego zgodnie z obowiązującymi przepisami w tej mierze. **Otrzymują ponadto:**
— bezpłatne posiłki regeneracyjne w czasie zajęć praktycznych i teoretycznych,
— bezpłatne ubranie wyjściowe w każdym roku nauki na sumę 4.000 zł,
— ubranie robocze i sprzęt ochrony osobistej oraz narzędzia pracy.

Uczniom zamiejscowym zapewnia się bezpłatne zakwaterowanie w internacie lub na kwaterach prywatnych. Absolwenci mają zapewnioną bardzo dobrze płatną pracę oraz możliwość kontynuowania nauki w technikum dla pracujących.

Wymagane dokumenty:
— podanie
— świadectwo szkolne z klasy VII
— wyciąg ocen za I okres klasy VIII
— wyciąg aktu urodzenia
— świadectwo zdrowia
— odpis karty szczepień
— 3 fotografie.

k984-1

9.04.1981 TV 15.04.1981

CZWARTEK 9 KWIETNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. II.
6.30. TTR, RTSŚ — chemia, sem. II.
9.00. Zoologia, kl. VII.
9.55. Język polski, kl. II lic.
13.30. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. IV.
14.00. TTR, RTSŚ — wskazówki metodyczne, sem. IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.20. Turniej Zastępowych.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Warszawa.
16.30. Czwartek TDC, m.in. „Był sobie człowiek".
17.30. Informator Turystyczny.
17.45. Patrol — „My z ZSMP".
18.15. Magazyn Szkolny CDN: „Samorządność uczniowska".
18.50. „Bajki z mchu i paproci".
19.00. Sonda — „Geometryczne wizje świata".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Misja" (4).
21.10. Pegaz.
22.00. — Próby — magazyn konsumenta.
22.30. Dziennik Telewizyjny.
22.45. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

10.00. Sonda — „Geometryczne wizje świata".
10.25. Informator Turystyczny.
10.40. „Wynalazca poszukiwany" — „Wokół studni".
11.10. Koncert muzyki barokowej.
16.30. Język rosyjski (25).
17.00. Język angielski (18).
17.30. Język angielski (25).
18.00. Program morski.
18.30. „Wynalazca poszukiwany" — „Wokół studni".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. NURT: praca — technika.
20.45. NURT — porozmawiajmy.
21.15. NURT — matematyka.
21.45. 24 Godziny.
21.53. Koncert muzyki barokowej.
22.20. „Bez recept".

PIĄTEK 10 KWIETNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. IV.
6.30. TTR, RTSŚ — wskazówki metodyczne, sem. IV.
8.10. Geografia, kl. VII.
9.00. „W fabryce włókienniczej", kl. III.
11.00. Wychowanie obywatelskie, kl. VII.
11.55. Wychowanie obywatelskie, kl. VIII.
12.50. Geografia, kl. VIII.
13.30. TTR — hodowla zwierząt, sem. II.
14.00. TTR — uprawa roślin, sem. II.
15.15. Redakcja Szkolna zapowiada.
15.30. NURT — język polski.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Łódź.
16.30. „Kółko graniaste".
17.00. Magazyn motoryzacyjny.
17.20. Lekarz radzi — „Tzw. nerwica żołądka".
17.30. Świadkowie.
17.50. „Hrabia Gaston — rycerz z Pirenejów" (2).
18.50. „Proszę słonia".
19.00. Monitor Rządowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Filmoteka Arcydzieł: „Antonio das Mortes" — brazylijski film fabularny w reż. Glaubera Rochy.
22.00. Rolnicze rozmowy.
22.10. „Listy o gospodarce".
22.55. 24 Godziny.
23.10. „Loża 44".

PROGRAM II

10.00 „Ziemia Ojców" (2).
11.30. Magazyn motoryzacyjny.
11.50. „Nieznani bohaterowie" (4) — „Przy starej twierdzy".
16.30. Język francuski (25).
17.00. Język rosyjski (25).
17.30. Język angielski (18).
18.00. Sekrety Kina — „Rola świata w filmie".
18.30. Latający Holender.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Uśmiech spod parasola".
20.45. Bluesy Romana Śliwonika.
21.10. „Mówić nie mówić".
21.40. 24 Godziny.
21.50. „Nieznani bohaterowie" (4) — „Przy starej twierdzy".

SOBOTA 11 KWIETNIA 1981 R.

PROGRAM I

7.25. TTR — hodowla zwierząt, sem. II.
7.55. TTR — uprawa roślin, sem. II.
8.25. TTR — hodowla zwierząt, sem. IV.
8.55. TTR — uprawa roślin, sem. IV.
9.30. Człowiek, Ziemia, Kosmos.
10.00. Militaria, Obronność, Nowoczesność.
10.30. „Z Polski rodem" (1) — magazyn polonijny.
11.00. Wspomnienie o profesorze Drzewieckim.
11.50. Potyczki ze sportem".
12.50. „Człowiek i gwiazdy" — rocznica lotu Gagarina.
14.15. „Przerwany lot" — polski dramat wojenny.
15.40. „Dyskoteka czy piwo?"
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. „Skakanka".
16.45. „Gwiazdozbiór" — Liv Ullmann.
17.30. „Wykrzyknik".
17.45. Studio Sport.
18.50. Dobranoc.
19.00. Telewizja Młodych — CDN.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Jakub Offenbach" (5) — „Podróż komediantów".
21.15. „Jeden dzień w Polsce" — reportaż.
21.45. „Antysentymenty, czyli miłość jest jak niedziela" — program rozrywkowy.
22.15. Dziennik Telewizyjny.
22.30. Kino Nocne: „Oszukany" — dramat amerykański.

PROGRAM II

10.45. „Podróż do wspomnień" — węgierski melodramat wg noweli Sandora Hunyadiego.
12.00. Studio 2. Program z rekomendacją Andrzeja Osęki: „Galaktyki Stanisława Lema" i „Apteka w getcie".
13.00. Co słychać w Polsce?
14.00 „Przegląd Techniczny" przedstawia: „Wyzwanie rozwojowe" (2) i „Sztuka rozmowy" (2).
15.00. Sport — teleturniej — muzyka.
16.15. Transmisja z Klubu Studia 2 — „Odpowiedzialność za słowo", dyskusja.
17.45. „Ziemia ojców" (2).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Muzyczne forum" (2).
21.00. Korepetycje z ekonomii.
21.15. „Niebezpieczny pościg" (2) — „Śmierć w jeziorze".
22.15. Ryszard Wójcik przedstawia.
22.55. Poczta Studia 2.
23.15. 24 Godziny.
23.20. „Kabarety, kabarety" — reportaż filmowy.

NIEDZIELA 12 KWIETNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.20. TTR — hodowla zwierząt, sem. IV.
6.50. TTR — uprawa roślin, sem. IV.
7.20. TTR, RTSŚ — „Wiedza nasza szansa".
7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytury dla rolników.
8.20. „Telewizjada".
9.00. Teleranek, m.in. „Tylko Kaśka" (4).
10.30. Antena.
11.00. „Ginący świat" — „Karczowisko w dżungli".
11.55. Dziennik Telewizyjny.
12.10. „Dlaczego" — program Redakcji Rolnej.
12.55. Klub Sześciu Kontynentów.
13.40. „Baśń o pięknej Parysadzie".
14.35. Tylko w Niedzielę. Wiersz dla Ciebie.
14.40. „Przygody Sindbada".
15.05. „Lekarstwa dla duszy" — film dokumentalny Wojciecha Sawy.
15.30. Przedmiot miesiąca.
15.40. „Dzisiaj w Temeryfie" — program rozrywkowy.
16.05. „Szansa" — artyści amatorzy walczą o zawodowe „Ostrogi".
16.45. „Warszawianka" — filmowa monografia pieśni.
17.10. „Pytania na dziś".
17.40. „Leśna ballada" — reportaż filmowy.
18.10. Godzina z Waldemarem Łysiakiem.
19.05. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Wiersz dla Ciebie.
20.20. Film fabularny.
22.00. Sportowa Niedziela.
22.30. Kabaret Olgi Lipińskiej.
23.10. Teodora Parnickiego przekuwanie historii w literaturę.
23.40. Wiersz dla Ciebie.

PROGRAM II

9.45. „Ofensywa kwietniowa" — program wojskowy.
10.15. „Misja" (4).
11.10. Przeboje tygodnia.
12.10. „Cyrki świata" — „Cyrk w mieście".
13.05. Teleturniej.
14.00. Teatr Telewizji — Aleksander Czchaidze: „Gdy miasto śpi".
16.00. Popołudnie Fauny i Flory.
16.45. Studio Sport.
18.00. „Stereo i w kolorze".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Mozart w Teatrze Marionetek.
21.15. Studio Sport.
21.50. Filmy Jerzego Kawalerowicza: „Prawdziwy koniec wielkiej wojny".

PONIEDZIAŁEK 13 KWIETNIA 1981 R.

PROGRAM I

13.30. TTR, RTSŚ — historia, sem. II.
14.00. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. II.
15.30. NURT — pedagogika.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Poznań.
16.30. Zwierzyniec.
17.00. „Czterej pancerni i pies" (13) — „Zakład o śmierć".
17.55. „Pamięć — ucieczka z Moabitu" — reportaż filmowy.
18.15. Impulsy.
18.50. Dobranoc.
19.00. Echa Stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Teatr Telewizji — Karol H. Rostworowski. „Judasz z Karothu" w reż. Tadeusza Lisa.
21.45. Rolnicze rozmowy.
21.55. 30 minut z architekturą.
22.25. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

16.30. Język niemiecki (26).
16.55. Język francuski (26).
17.25. Język rosyjski (26).
18.00—21.30. Studio Bis.
21.50. 24 Godziny.
22.00. „Wizyta" — film obyczajowy TVP w reż. Juliana Dziedziny.

WTOREK 14 KWIETNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. II.
6.30. TTR, RTSŚ — historia, sem. II.
8.10. Historia, kl. VIII.
9.55. Język polski, kl. II lic.
11.00. Wychowanie plastyczne, kl. III.
13.30. TTR, RTSŚ — język polski, sem. IV.
14.00. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. Telewizyjny Klub Seniora.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Szczecin.
16.30. „Dzień dobry w kręgu rodziny".
17.00. „Struś Pędziwiatr przedstawia".
17.20. Polska Kronika Filmowa.
17.30. Klinika Zdrowego Człowieka.
18.00. Telewizja Młodych przedstawia — CDN.
18.50. Dobranoc.
19.00. Camerata.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Sól ziemi" (3).
21.30. Forum ekonomistów.
22.10. „Ocalić od zapomnienia" — „Śląski pejzaż".
22.40. Dziennik Telewizyjny.
22.55. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

10.00. „Sól ziemi" (3).
11.10. „Sensacje z przeszłości" — „Magia i czary".
11.40. Klinika Zdrowego Człowieka.
16.30. Język angielski (26).
17.00. Język niemiecki (26).
17.30. Język francuski (26).
18.00. Kino Telewizji Najmłodszych.
18.30. Pegaz Młodych.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Magia i czary".
20.30. Wtorek Melomana.
21.30. 24 Godziny.
21.40. Wieczór Filmowy: „Oko, które słyszy, ucho, które widzi", „Dworzec" i „Skupisko".

ŚRODA 15 KWIETNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. IV.
6.30. TTR, RTSŚ — język polski, sem. IV.
13.30. TTR, RTSŚ — chemia, sem. II.
14.00. TTR, RTSŚ — biologia, sem. II.
14.30. Program dla PGR-ów.
15.00. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. NURT — język polski.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Warszawa.
16.30. „Michałki".
17.10. Dom i My.
17.30. Studio Sport.
18.20. Klub Dobrej Książki.
18.50. Dobranoc.
19.00. „W świecie dzikich zwierząt" — „Rzeka afrykańska".
19.30 Dziennik Telewizyjny.
20.00. Teatr Telewizji — Borys Łapin „Klaudia" w reż. Andrzeja Żmijewskiego.
21.25. „Powrót majora" — reportaż filmowy.
21.55. „Kwietnik" — program rozrywkowy.
22.20. Dziennik Telewizyjny.
22.35. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

10.00. Szkiełko i Oko.
12.30. Klub Dobrej Książki.
16.00. Towarzystwo Wiedzy Powszechnej.
16.30. Język angielski (19).
17.00. Język angielski (26).
17.30. Język niemiecki (26).
18.00. Teatr Wspomnień (1964) — William Szekspir: „Sonety i monologi Hamleta" w reż. Adama Hanuszkiewicza.
18.40. Ferenc Liszt — „Fantazja węgierska".
19.30 Dziennik Telewizyjny.
20.00. Szkiełko i Oko.
21.34. 24 Godziny.
21.40. Ekran Reporterów — „Święto papierowych kolosów".
22.10. „Czarne i białe" — reportaż filmowy.

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR. REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Lech Gizelbach, Wiesław Kołowski, Juliusz Świredo, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Kędzielawski. Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel Korekta — Elżbieta Słupska. STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Grafik — Jacek Grün, Wiesław Janicki, Henryk Kin, Andrzej Koziara, Klemens Krzyżagórski, Jan Kulka, Piotr Kuncewicz, Marek Kusiba, Tadeusz, Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Janusz Berner, Jerzy Bielecki, Irena Biernacka, Mocarski, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak. KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10 18-400 Łomża Tel. Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku Druk Białostockie Zakłady Graficzne. Zam. 569/81 r. Nakład 25.000 A-3. PL ISSL 0208-6840 — Nr indeksu 36328 Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. tyd.„Kontakty" 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel. 34-95 40-22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch". Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności na terenie kraju

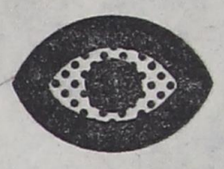

Łomża, kino „Październik": 9—11 IV — „Kiedy będzie ślub", prod. radz. (od lat 15); 12—14 IV — „Śmiertelny pościg", prod. franc. (od lat 15); 15—17 IV — „W biały dzień", prod. pol. (od lat 15).

Ciechanowiec, kino „Meteor": 9—10 IV — „Amator", prod. pol. (od lat 15); 11—12 IV — „Drogi papa", prod. włosk. (od lat 18); 14—15 IV — „Pałac", prod. pol. (od lat 18).

Grajewo, kino „Relax": 9 IV — „Smak wody", prod. pol. (od lat 15); 10—12 IV — „Miłosna edukacja Walentego", prod. franc. (od lat 15); 13—14 IV — „Zwierciadło", prod. radz. (od lat 15); 15—16 IV — „We władzy ojca", prod. włosk. (od lat 18).

Jedwabne, kino „Oaza": 9 IV — „Flic story", prod. franc. (od lat 18); 11—12 IV — „Milczący wspólnik", prod. kanad. (od lat 18); 15—16 IV — „Tak szalona, że może zabić", prod. franc. (od lat 15).

Kolno, kino „Wrzos": 9—10 IV — „Szalone dni", prod. jug. (od lat 18); 11—12 IV — „Dick i Jane", prod. USA (od lat 15); 13—15 IV — „Ogień pod pokładem", prod. NRD (od lat 15).

Nowogród, kino „Ziemowit": 11—12 IV — „Hair", prod. USA (od lat 15); 14—15 IV — „Okna czasu", prod. węg. (bez ograniczeń).

Stawiski, kino „Saturn": 9—10 IV — „Dzień Wisły", prod. pol. (od lat 15); 11—12 IV — „Dyrygent", prod. pol. (od lat 15); 14—15 IV — „Bitwa o Midway", prod. USA (od lat 12).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars": 9—10 IV — „Ponad strachem", prod. franc. (od lat 15); 11—12 IV — „Dubler", prod. franc. (od lat 12); 14—16 IV — „Panowie dbajcie o żony", prod. franc. (bez ograniczeń).

Zambrów, kino „Kosmos": 9—10 IV — „Golem", prod. pol. (od lat 18); 11—18 IV — seanse zamknięte.

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: Klub Seniora — spotkanie z Tadeuszem Jędruszczakiem, członkiem „Klubu Warszawa '80", redaktorem miesięcznika „Kultura i Ty", na temat sytuacji politycznej i gospodarczej kraju (w klubie WDK), 11 IV, godz. 16.00; „Tajemnica starej wierzby" — bajka dla dzieci w wykonaniu aktorów scen warszawskich, 12 IV, godz. 10.00 i 12.00 (informacja o biletach w Dziale Imprez WDK, III piętro).

Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży: pokaz filmów krótkometrażowych o sztuce współczesnej (w klubie „Pod Arkadami"), 9 IV, godz. 19.00; Dyskusyjny Klub Filmowy „To tu" — film prod. NRD „Norma Rae" (w sali WDK), 10 IV, godz. 18.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: „Czy znasz film polski?" — zgaduj-zgadula dla młodzieży, 14 IV, godz. 17.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: eliminacje rejonowe III Festiwalu Piosenki Dziecięcej, 12 IV, godz. 11.00; wystawa prac plastycznych uczniów Liceum Ogólnokształcącego w Zambrowie, czynna od 10 IV.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: wystawy prac kółek zręcznych rąk pod hasłem „Lubię majsterkować" we wszystkich placówkach ko. na terenie gminy.

Łomżyńska Orkiestra Kameralna — koncert w sali Państwowej Szkoły Muzycznej w Łomży, 10 IV, godz. 19.00. Dyryguje Henryk Szwedo. Solista: Alicja Marczak-Faberowa — mezzosopran . W programie — Georg Freidrich Haendel: Concerto grosso, op. 6, nr 6; František Benda: Koncert na flet; Antonio Vivaldi: „Longe mala umbrae", „Stabat Mater". Bilety do nabycia w biurze Orkiestry (ul. Świerczewskiego 36), na godzinę przed koncertem w kasie.

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków, wtorków i dni poświątecznych): w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00. **Wystawy:** „Nabytki Muzeum w latach 1975—1980" — wystawa najciekawszych eksponatów z różnych dziedzin kultury materialnej; „Bursztyn z dorzecza Narwi środkowej" — wystawa ze zbiorów własnych prezentująca wydobywanie, obróbkę oraz wyroby z bursztynu.

Park Etnograficzny Północno-wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 9.00—16.00. **Wystawy:** 1) Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkaczki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerek z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodółka ze starym drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi. 2) W Dworku z Brzózek wystawa archeologiczna — „Pradzieje Nowogrodu". 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik — życie i działalność".

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 8.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00. **Wystawy stałe:** 1) „Dzieje rolnictwa" (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, rzemiosło, tkactwo ludowe), 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wnętrz. 4) Regionalna Izba Pamięci Narodowej. **Wystawa czasowa:** malarstwo Jana Kulikowskiego.

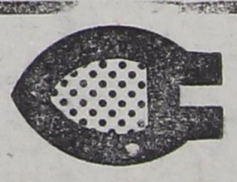

Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 (Szkoła Podstawowa nr 3), czynna codziennie — oprócz niedziel i dni świątecznych — w godz. 8.00—18.00, w soboty w godz. 8.00—15.00: „Ludzie i zwierzęta" — pokonkursowa wystawa prac plastycznych dzieci z konkursu organizowanego przez Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu.

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00, w soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): malarstwo Zbigniewa Kruszewskiego — wystawa 36 obrazów artysty-plastyka z Łomży.

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka ul. Giełczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne
999 — Pogotowie Ratunkowe
998 — Straż Pożarna
Pogotowie Chirurgiczne ul. Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne cała dobę

ogłoszenie drobne

„Syrenę" 105 — sprzedam. Łomża, ul. Wojska Polskiego 161a m 6, tel. 42-11 wew. 181.

p 556-0

KONTAKTY

POKUSY
organ samoistny pod redakcją Andrzeja Koziołka
POKUSY

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Uczciwie mówiąc, na pewno nikt z Państwa nie pamięta, co się działo ostatnio wśród czterech naszych diabelskich faworytów, ob. ob. Dojlickiego, Biebrzańskiego, Bużańskiego i Narwiańskiego. Są to oczywiście diabły, chociaż szczerze mówiąc, to nie bardzo wiadomo, kto tu diabeł, a kto nie. I teraz siedzą znowu nad jakąś tam rzeką i coś tam kombinują.

DOJLICKI: Kurcza wasza diabelska noga, co wy sobie myślicie? My tu ciężko pracujemy, a jakoś nic z tego nie wychodzi.

BIEBRZAŃSKI: A to niby dlaczego, diable piekielny?

DOJLICKI: A to niby dlatego, że cokolwiek teraz nie wymyślimy, to się zaraz przeciw nam obraca.

BUŻAŃSKI: A może tak konkretnie?

DOJLICKI: A czemu to nie! Ostatnio pozwoliłem sobie sprowokować taką drobną prowokację i, cholera, niczego nie udało mi się sprowokować!

BUŻAŃSKI: Kiepska, znaczy, była prowokacja!

DOJLICKI: Prowokacja była jak trzeba, tylko cała reszta była niedopracowana.

BIEBRZAŃSKI: Ale jednego diabła tośmy prawie wykończyli, mimo wszystko. I to w dodatku błyskawicznie, i zgodnie z najnowszymi zaleceniami.

BUŻAŃSKI: A kogóż to, mianowicie?

DOJLICKI: Winien jestem dodatkowe wyjaśnienia. Otóż był to osobnik na tyle diabelski, że chciał rozbić naszą diabelską klikę. Jak jemu tam: Bri, Bra, Brooo... Kwiatkowski!

BIEBRZAŃSKI: A idźcie do diabła, diable piekielny. Na tym nazwisku tak się wszyscy poślizniemy, że nas diabli wezmą. Już diabelsko-dziennikarskie głosy odzywają się, i jak dojdzie co do czego, to nas niestety rozliczą.

DOJLICKI: Nie będziemy tak rozliczać.

BUŻAŃSKI: Wydaje mi się otóż, że mimo wszystko wygramy. A jakbyśmy nawet nie wygrali, to i tak będziemy na przedzie.

BIEBRZAŃSKI: A co za diabli, nic z tego nie rozumiem.

DOJLICKI: To ja wam powiem, diable diabelski, żebyście zrozumieli wreszcie. Powołaliśmy otóż diabelskie zgromadzenie, żeby rozliczyć, wyliczyć i tak dalej...

BUŻAŃSKI: A ja byłem przeciw. I tym sposobem wygrałem.

BIEBRZAŃSKI: A coście to mianowicie diable wygrali?

DOJLICKI: Szczerze mówiąc, gówno, ale najlepsze gówno, kiedy jest po równo.

BIEBRZAŃSKI: A co to mianowicie znaczy?

DOJLICKI: Znaczyć to może wszystko, ale jak założyliśmy w diabelskim rozrachunku, może równie dobrze nie znaczyć nic.

BUŻAŃSKI: Przyklaskujemy. Podejmujemy uchwałę — koniec z przyklaskiem.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

Rysunek Adama Hoffmana. Reprodukcja Włodzimierza Ciesłowskiego.

Rysunek Władysława Mścichowskiego

PAMIĘTNIK ADAMA

PO DZIESIĘCIU DNIACH. Ewa oskarża mnie o spowodowanie naszego nieszczęścia! Twierdzi z całą szczerością i zgodnie z prawdą, iż Wąż zapewnił ją, że zakazanym owocem są nie jabłka, lecz kasztany. Powiedziałem, że w takim razie jestem niewinny, gdyż nie jadłem kasztanów. Odrzekła na to: „Wąż wyjaśnił jej, że „kasztan" jest słowem przenośnym, oznaczającym zwietrzały i nieaktualny dowcip. Słysząc to zbladłem, gdyż nieraz wymyślałem kawały, aby jakoś wypełnić sobie czas, i niektóre dowcipy mogły być zwietrzałe, choć gdy je wymyślałem, byłem głęboko przekonany, że są nowością. Spytała mnie, czy nie wymyśliłem jakiegoś kawału w momencie katastrofy. Musiałem przyznać, że tak istotnie było — chociaż nie wypowiedziałem go na głos. To było tak: pomyślałem o wodospadzie i rzekłem do siebie: — Jak cudownie patrzeć na tę masę wody spadającą w dół. — I wtedy zabawna myśl przebiegła mi przez głowę jak błyskawica; pozwoliłem jej ulecieć, mówiąc: — Jeszsze cudowniej byłoby zobaczyć, jak woda spada w górę — i omal nie pękłem ze śmiechu, a wtem nagle cała przyroda zerwała się z pęt w tumulcie walki i śmierci, a ja musiałem uciekać, by ratować życie. — No właśnie — rzekła z triumfem — to jest ten żart, o którym wspomniał Wąż, nazywając go Pierwszym Kasztanem. Powstał on, jego zdaniem, równocześnie z aktem stworzenia. — Niestety, to moja wina, Obym nie był taki dowcipny; och, obym nigdy nie wpadł na tę błyskawiczną myśl! (C.D.N.)

MARK TWAIN

Rysunek Władysława Mścichowskiego

DONOS NR 4

Od czasów króla Kraka jakoś u nas ciężko z potworami. Wprawdzie trafiały się potworne sprawki, było kilka wampirów i pirowampów oraz jedna czarna wołga, ale to jest już wkraczaniem w sprawy techniki.

Ostatnio w naszym makroregionie pojawił się aliment królewskiego pofolgowania, zwany szumnie Papucłem Wspaniałym. Owo stworzenie, że tak bąknę, sieje postrach (może to są zreformowane siewy wiosenne) bez zniszczenia i to czym — właśnie reformami.

Nie wiem, co ma papuć do reform, chyba że w ostatnich pęknie gumka i majestatycznie spłyną na wcześniej wzmiankowanego. W każdym bądź razie Papuć Wspaniały ma pozwolić odetchnąć odciskom (czy nie lepiej nodze?), ukryć płaskostopie i zdusić perfidne stopy wygórowanie (po co ma bestia rosnąć bezprzytomnie, żeby się później przekształcić w gigantyczną piętę Achillesa?). Zapewni także ogólną miękkość stosunków (żeby z papucia erotomana robić!), przystępność (nie mylić z przestępczością) w sklepach (nie do towarów, a do ekspedientek) oraz możliwość załatwienia (się) od ręki.

Słowem, Papuć Wspaniały jest genialnym osiągnięciem podciągania pewnych części garderoby z braku lepszego zajęcia. Niezwykle modny (czyli kosztowny), wygodny w użyciu (przedtem najlepsza była butelka), można nim ciskać do woli (najlepiej z Powiśla), nie napina planów (ma ładną krzywą) i w dodatku jest rozlazły (wspaniały symbol naszych przedsięwzięć).

Jak dotąd, ustalono, że nie wiadomo, gdzie się ten szewski pomiot obraca.

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

Wiedźmy ujeżdżają nową miotłę, otrzymaną z MPGKiM (rozliczyć tego, co ją udostępnił). Ba, nawet marzą potajemnie o adaptowaniu rozklekotanej zamiataczki ulic na aerobus, co w poważnym stopniu ograniczyłoby indywidualne przejazdy na służbowych miotłach.

WYTYCZNE

Mniej mięsa na stołki!

WSKAZÓWKI

Zamiast świni podkładać komornika lub komisję z NIK-u.

TWÓRCZOŚĆ

Udoskonalone formy odżywiania lub prościej: latające talerze symbolem naszej sytości!

Z upoważnienia NSDW
Czarnego vel Hańczaka
do publicznej wiadomości podał
TADEUSZ CHARMUSZKO

DONOS NADZWYCZAJNY

Mam nosa, że niech mnie anieli! Długo musiałem rogów nadstawiać, a ogonem kręcić, żeby mojego rzecznika prasowego zakonotować gdzie trzeba, ale opłaciło się. Dusza w nim rogata, niepozorny, że niech mnie centrala ściśnie (oj, coś mnie dzisiaj na ściskanie zebrało), i w dodatku najszybszy człowiek świata. Niechże sobie wyobrażą różne czytające elementy, iż niejaki Tadeusz Charmuszko, bo o nim tu czarcia nawijka, wyszedłszy z domu o godz. 8.10 w kierunku zbliżonym do zachodniego, zdążył na autobus, odjeżdżający z przystanku o godz. 6.50. Stało się to 1 marca (nie mylić z pierwszym kwietnia) Roku Szatańskiego 1981, i z ręką na kudłach twierdzę, żem żadnych piekielnych sztuczek nie stosował.

Ze szczerym smutkiem (pożyczonym na tę okazję z ostatniego pogrzebu) donoszę, że propozycja wpisania do księgi rekordów została odrzucona. Motywacja była krótka i regulaminowo zasupłana: „Phi, też wyczyn! Przy tak sprawnej komunikacji z powodzeniem można doścignąć średniowiecze, a może nawet i wcześniejsze epoki".

Wobec tego wysłałem wniosek do Piekła Centralnego o nadanie orderu: NAJSZYBSZY W DIABLENIU ROBOTY.

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

został wycięty przez Naczelną Cenzurę Piekielną (widać ostatnio nastała taka moda, że każdy wycina różne numery).

Podpisano:
NSDW
Czarny vel Hańczak